Dodatek do „Gazety Lwowskiej“.

PRZEWODNIK

NAUKOWY I LITERACKI

Rok XXXIV.

Tom XXXIV. — Zeszyt VII. Lipiec — 1906.

Odpowiedzialny redaktor: Adam Krechowiecki.

WE LWOWIE.
Nakładem wydawnictwa „Gazety Lwowskiej“.
Z drukarni Wł. Łozińskiego.
(Zarządca J. Niedopad).
1906.

Treść zeszytu.

I. — Prawne i moralne horoskopy socyalizmu, napisał **dr. Bronisław Loziński.**

II. — Podróże królewicza polskiego, późniejszego króla Augusta III. (Niemcy — Francya — Włochy). 1711—1717. Z dyaryusza rękopiśmiennego wydał **Alexander Kraushar.**

III. — Fryderyk Nietzsche i jego znaczenie w ruchu umysłowym współczesnym, napisał **dr. M. Straszewski.**

IV. — Andrzej Radwan Zebrzydowski, biskup krakowski. († 1560). Monografia historyczna. Część V., napisał **dr. Tadeusz Troskolański.**

V. — Listy Kazimierza Brodzińskiego do stryjecznej siostry, Szczęsnej. Wydał z autografu i zaopatrzył wstępem **Aleksander Łucki.**

VI. — Pamiętnik Napoleona Sierawskiego, oficera konnego pułku Gwardyi za czasów ks. Konstantego.

Prawne i moralne horoskopy socyalizmu.

(Ciąg dalszy).

II.

Wobec takiej mrzonki, jak upatrywanie skutecznej warowni dla norm etycznych w tak nieuchwytnym czynniku, jak opinia publiczna, której moralna powaga wobec zajętego poprzednio przez Mengera stanowiska negacyi zarówno co do religijnej, jak i filozoficznej sankcyi norm moralnych, wypływałaby z jakiegoś zagadkowego źródła, nowa etyka, którą autor jako konieczne uzupełnienie swojej nowej nauki o państwie już w tem dziele niejako pośrednio zapowiedział a niedawno, na kilka miesięcy przed śmiercią, istotnie drukiem ogłosił *(Neue Sittenlehre)*, musi z góry obudzać wątpliwości a nawet pewne uprzedzenie. Zawsze jednak rozgłośna firma naukowa Mengera pozwalała oczekiwać rzeczy niezwykłej, chociażby przytem parodoxalnej i jak nowa nauka o państwie odbiegającej od rzeczywistości w sfery fantasmagoryi. Tymczasem nowa nauka moralności nawet i pod tym względem sprawia rozczarowanie. Wzbudza je już sam wstęp, chociaż co prawda jest on tak oryginalny, że nad rozczarowaniem chwilowo stanowczo przeważa zdumienie. Z tego wstępu bowiem wypływałoby, że cała dotychczasowa filozofia, począwszy od Arystotelesa, służyła tylko widokom burżuazyi i z tego powodu powinna pójść w zapomnienie tak samo, jak cała dzisiejsza klasowa organizacya społeczeństwa.

Musimy tutaj trzymać się słów samego autora, bo rzecz taka mogłaby się wydać nieprawdopodobną w dziele pisarza poważnego, któremu w studyach naukowych nie chodziło o tendencyjną propagandę, lecz o ideały po swojemu pojmowane. Tak tedy pisze Menger na wstępie swojego ostatniego dzieła: „Filozofia w swoim tysiące lat trwającym rozwoju dotąd wyrażała tylko poglądy bogatych i silnych o ustroju świata. Pierwotnie wszędzie wszystkie stany łączył węzeł wspólnego religijnego światopoglądu. Gdy potem w duchowo wyżej stojących warstwach ludowych poczęło się rozwijać samodzielne rozmyślanie o świecie i o człowieku, filozofowie musieli z konieczności opinię wyższych kół, do których sami prawie bez wyjątku należeli, wziąć za podstawę swoich teoryi. Jakżeby tacy dumni filozofowie starożytności, taki arystokrata jak Plato, taki wychowawca książąt, jak Arystoteles, mogli myśleć o tem, żeby zapatrywania niewolników i niższych warstw o ustroju świata ująć mieli w swoich systematach? Tak też za wpływem równych co do istoty stosunków pozostało aż do dnia dzisiejszego. Naturalne przeciwieństwa między niższemi a wyższemi warstwami najwięcej występują na jaw w zakresie prawa i moralności. To też filozoficzna nauka o prawie i moralności przedstawia od dawna obraz bezgranicznej jednostronności. Ale i w innych zakresach filozofii, w nauce o poznaniu, w metafizyce, nawet w niektórych częściach filozofii natury, objawia się wpływ tego wielkiego przeciwieństwa. Wybór problematów, ich traktowanie, trudne do zrozumienia przedstawienie wyciskają na całej dotychczasowej filozofii piętno liberalno-arystokratyczne. Dopiero od powstania socyalizmu w XIX. wieku, siła i świadomość niższych klas tak się rozwinęły, że stworzenie prawdziwej filozofii ludowej stało się możliwem i koniecznem." Do tego dzieła przystąpił Menger, wydając na początek nową naukę moralności, po której nastąpić miało po kolei opracowanie dalszych działów, do czego jednak, jakby przewidując bliski kres życia, wzywa i zachęca młode siły.

Jeżeliby z etyki Mengera wnosić wypadło, jak wyglądać będzie ów przyszły socyalistyczny system filozofii w całokształcie, to najpierw musiałaby powstać wątpliwość, czy wogóle będzie w tem jaki system, skoro już sam początek wypadł tak niesystematycznie. Rzecz bowiem wydana pod wiele mówiącym tytułem nowej nauki moralności stanowi w swojej broszurowej objętości tylko kollekcyę szkicowych poglądów na obecny stan moralności, na jego ujemne objawy oraz na źródła złego, wreszcie na poprawę stosunków, którą sprowadzić ma socyalizm swojemi reformami. Niema tam

żadnych ogólnych zasadniczych wywodów o fundamentalnych pojęciach etyki, o kryteryach dobrego i złego, o psychologicznych elementach działania ludzkiego itp. Dla scharakteryzowania naukowego poziomu, albo raczej lekkiego publicystycznego traktowania rzeczy, wystarczy przytoczenie faktu, że nawet sam problemat wolnej woli zbywa autor we wstępnym rozdziale krótko w ten sposób, iż wprawdzie wolna wola stanowi postulat każdej moralności, ale człowiek w całem życiu swojem tak jest zależny od stosunków, że w działaniu wygląda jak maryonetka z zewnątrz w ruchach swoich kierowana. Jako główne czynniki, trzymające człowieka w dzisiejszym ustroju społecznym w ciągłej zależności, więc dyktujące mu prawidła moralne, wymienia autor organizacyę państwową i prawną, kościół, stany zawodowe, stronnictwa i opinię publiczną.

Mamy tedy determinizm społeczny, za czem idzie twierdzenie, że „nauka moralności nie wskazuje, jak to tylu moralistów utrzymuje, co człowiek ma czynić, lecz co rzeczywiście czyni i pod wpływem stosunków społecznych czynić może“ a dalej, że „moralnym jest ten, kto się przystosowuje do socyalnych stosunków siły, niemoralnym zaś ten, kto się im opiera“. W konsekwencyi w braku stałych kryteryów moralności zmiany zachodzące w stosunkach socyalnych sprawiać muszą to, że „te same osoby i czyny, które dziś są chwalone i podziwiane, jutro mogą wzbudzać wstręt i być piętnowane“. Niema tedy stałych norm a ze zmianą stosunków, naciskających na człowieka, zmieniać się muszą sądy o wartościach moralnych. Biedny człowiek, któremu danem jest dożyć zgrzybiałego wieku wśród ciągłych zmian w konstellacyi stosunków i sił społecznych a tem samem i pojęć moralnych jako ich reflexu! „Ponieważ — mówi autor — tylko głupota ludzka wskazywała mu w młodości pojęcia moralne jako najpewniejszy punkt oparcia w życiu ludzkiem, przeto najczęściej na schyłku życia zawołać musi: Ja już świata nie rozumię!“

Sumienie nazywa Menger, niemal drwiąc z tego, co o niem mówi etyka z religijną lub tylko z filozoficzną sankcyą norm (Kant), „w gruncie rzeczy bardzo prozaicznem zjawiskiem, pozbawionem tego wielkiego uroku poetycznego, jakim otoczyła je religia, filozofia i sztuka wszystkich czasów. Ponieważ cnota jest równoznaczną z przystosowaniem się do socyalnych stosunków siły a grzech i występek równoznaczne ze sprzeciwieniem się tym stosunkom, przeto sumienie polegać może tylko na trwodze przed szkodliwemi następstwami takiej sprzeczności. W wszechmocnym

Bogu nie byłoby z tego powodu żadnego śladu sumienia ludzkiego."

Ale nietylko samej sile stosunków socyalnych, lecz także i prostemu przypadkowi przyznaje Menger w danym razie rozstrzygającą rolę w ocenianiu czynów ze stanowiska moralnego i jako przykład przytacza zamordowanie serbskiej pary królewskiej w r. 1903. „Jeżeliby — mówi — serbska para królewska w nocy z 10. na 11. czerwca 1903 r. zdołała była pokonać spiskowych oficerów, straconoby ich niezawodnie, a ich postępowanie zostałoby dosadnie napiętnowane we wszystkich serbskich kościołach, sądach, szkołach, w dziennikach, nawet w całym świecie. Ale oficerom powiodło się dzieło spiskowe szybko i gruntownie, więc reprezentacya kraju uznała ich zbawcami ojczyzny a ich postępowanie bohaterstwem. W świecie cywilizowanym nie brakło pedantów, którzy nie chcieli uznać, że siła i moralność są w gruncie rzeczy identyczne, ale ich wyroki potępienia nie miały żadnego znaczenia wobec powszechnego i zgodnego uznania, a nowej dynastyi, której panowanie zaczęło się od tej nocy morderczej, nie pozostaje nic innego jak tylko postaranie się o to, aby i później w Serbii i zagranicą owo królobójstwo było chwalone i wielbione."

Jest to szczegół godny uwagi, bo charakterystyczny dla samej rzeczy, że szukając illustracyi dla swoich dziwolągów moralnych, Menger zapędził się na wschód Europy, do kraju z taką wątłą jeszcze powłoką kultury prawnej i moralnej, jak Serbia dzisiejsza. A w dodatku nawet i ten serbski przykład wcale tutaj nie wystarcza, bo owo królobójstwo belgradzkie wywołało właśnie w całym świecie, cywilizowanym równobrzmiący okrzyk oburzenia, więc stwierdziło jednolitość poczucia etycznego w świecie cywilizowanym. Przecież nawet w samej Serbii nie obeszło się bez groźnej moralnej reakcyi, którą rząd dopiero siłą mocą tłumić musiał. Jeżeli powoli moralna reakcya Europy, po za stałą w tej mierze dotąd Anglią, osłabła i opinia odstępować zaczęła od żądania takiej satysfakcyi, jakiej się początkowo domagała, to jestto tylko świeży dowód historyczny, że polityka jak zawsze była, tak niestety jest ciągle niepoprawną psotnicą w zakresie moralności, psotnicą urągającą tak często moralnym postulatom zarówno na szerokiej widowni międzynarodowych machinacyi dyplomatycznych, jak i w ciaśniejszym zakresie wewnętrznego życia państwa i społeczeństwa.

Jeżeliby zresztą zamordowanie rodziny królewskiej w Belgradzie miało być wzięte za objekt moralnych refleksyi, to bliższą niż Mengerowska teza moralna byłaby konkluzya, że ów przez socyalistycznego reformatora etyki tak wysoko wyniesiony trybunał moralny opinii publicznej dziś jeszcze nie posiada nietylko w polityce, lecz nawet i w prywatnych stosunkach, takiej siły, aby mógł wyręczać prawo w repressyi karnej tam, gdzie ono z przyczyn wyjątkowych nie może całą siłą dosięgnąć winowajcy. Ztąd pochodzą tak częste w naszych czasach wypadki rażącej bezkarności, nad którą biadają dziś w całym świecie prawnicy i moraliści, zawiedzeni w oczekiwaniu, że sam postęp wiedzy i oświaty podnosić będzie ludzkość na coraz wyższy stopień doskonałości bez pomocy religii i zjednoczonej z nią moralności. Biadanie to zamknął jeden z luminarzy niemieckiego świata prawniczego w starym aforyzmie: *qui proficit in litteris et deficit in moribus plus deficit quam proficit!* Mimochodem wspomniemy tutaj, że na temat osłabienia siły repressyjnej opinii publicznej i wypływającej ztąd bezkarności, posiada nasza literatura publicystyczna dwie wyborne rozprawy: Stanisława Koźmiana (Bezkarność) i Stanisława Tarnowskiego (Z powodu Panamy). Że jednak mimo to wszystko nie jest jeszcze tak źle z dzisiejsza moralnością, jak to Menger przedstawia, na to dowodem właśnie owa Panama, która w swawolnej Francyi tak wzburzyła poczucie moralne, iż nawet głowa państwa nie mogła się ostać przed burzą. Zmiotła ona wtedy wielu takich, którzy na miarę Mengerowską mogli uchodzić za ludzi bardzo moralnych, bo umiejących wybornie — przystosować się do panującej w danej chwili konstellacyi stosunków!

Ale nietylko co do królobójstwa serbskiego, lecz także w wyborze innych przykładów historycznych na poparcie własnych tez moralnych Menger jest stanowczo nieszczęśliwy. Podnosząc opinię nietylko publiczną, lecz także w ciaśniejszych kołach, zwłaszcza opinię i poglądy sfer wyższych a przedewszystkiem sfery dworskiej jako jedno ze źródeł przykazań moralnych, oczywiście pojmowanych konsekwentnie jako reflex siły, Menger przytacza fakt, że gdy w r. 1856 cesarzowa Eugenia dla osłonięcia defiguracyi ze stanu brzemiennego użyła krynoliny, za jej przykładem poszły zaraz najpierw damy wielkiego świata paryskiego a potem wogóle cały świat kobiecy bez względu na to, czy zachodził ten sam motyw, który cesarzową Eugenię natchnął pomysłem krynolinowym! Ten niezawodnie ciekawy a nawet klasyczny przykład wszechwładztwa mody przytoczony został w takiej paradoxalnej illustra-

cyi, że ustęp ten trzeba dwa razy przeczytać, aby być pewnym, że tak się rzecz ma w poważnej pracy uczonego rozgłośnej sławy. Przykładów wszechwładztwa mody nie trzeba zresztą szukać w dalekiej przeszłości i w stolicy światowej mody, bo obserwować je można na każdym kroku, nawet na zebraniach „towarzyszy“ i „towarzyszek“ wtórujących okrzykiem: hańba mowcom, piorunującym na kapitalizm i cały dzisiejszy ustrój społeczny. Moda w ogóle, zwłaszcza jako wierna towarzyszka zbytku może niezawodnie wchodzić w grę jako jeden ze szczegółów illustrujących krytykę współczesnych obyczajów i w ogóle stosunków społecznych, ale z całkiem innego punktu widzenia. W książkę Mengera szczegół ten chyba wśliznął się z braku uwagi, zupełnie pochłoniętej jedną myślą i jedną tendencyą.

Kompletny rejestr moralnych obowiązków i odpowiadających im cnót i zdrożności nie wchodził, jak to sam autor zaznacza, w plan jego dzieła, bo wobec tezy, że moralność stanowi tylko reflex konstellacyi sił i wpływów w ustroju społecznym, było to nawet istotnie zbędnem Autorowi i czytelnikowi *iuranti in verba magistri* wystarczyć muszą szczegóły, które nietylko wydają się znamiennemi, lecz nadto dają wyborną sposobność do przypięcia łatki już nietylko etyce z religijną sankcyą norm, lecz w ogóle tradycyjnie uznawanym przykazaniom moralnym. Na pierwszy plan obowiązków wysuwa Menger staranie o przyszłe pokolenie, negując przytem obowiązki wobec własnej osoby. Człowiek jest panem swojego życia i ciała, więc wolno mu popełnić samobójstwo lub samokalectwo. Natomiast w kollizyę z moralnością wchodzi człowiek, który w stanie opilstwa lub choroby zakaźnej daje życie charłaczemu potomstwu, lub z lekkomyślności nadmiernie rodzinę swoją pomnaża. „Tutaj — mówi Menger — ogólny charakter moralności jako reflexu siły w stosunkach społecznych występuje na jaw z szczególną jasnością, bo dziś żyjącym i działającym ludziom bezwarunkowo daje się pierwszeństwo przed następnemi pokoleniami, które bezsilnie spoczywają w ciemnem łonie przyszłości“. Winę zwala autor na chrześciańską moralność, która ze starego zakonu przyjęła tezę o licznem potomstwie, jako błogosławieństwie boskiem i na dzisiejsze prawo, które ze swojego zakresu wyłącza pożycie małżeńskie, wyświadczając w ten sposób przysługę rolnikom i przemysłowcom, potrzebującym jak najwięcej tanich rąk do pracy! Jakby prawo miało uregulować pożycie małżeńskie w przyszłem państwie socyalistycznem, aby preliminarz budżetu dziecięcego nie został nigdy przekroczony, lub

zwichnięty charłaczemi pozycyami w *extraordinarium* — tej ciekawej kwestyi nie rozwija autor szczegółowo, lecz rzecz całą kończy tą ogólną, ale wiele mówiącą uwagą: „Dopóki państwo stoi wobec prawa prywatnego, jakby wobec zamkniętej twierdzy, do której tylko skrytymi chodnikami dostęp znaleść można, nigdy nie będzie ono w stanie osłaniać skutecznie interesów przyszłych pokoleń.“ Ta troskliwość autora o przyszłe pokolenia wchodzi później w program zaleconych przezeń reform moralnych i dlatego okazał ją już poprzednio także w nowej nauce o państwie.

W dalszym przeglądzie rejestru cnót i przywar moralnych w tradycyjnem ich znaczeniu nie możemy a nawet i nie potrzebujemy iść krok w krok za autorem. Jestto bowiem przegląd, w którym niema ani tej systematyczności, ani tej ścisłości, jaką niewątpliwie odznaczały się poprzednie prace naukowe Mengera. Rzecz cała w tym rozdziale traktowana jest wyrywkowo i urywkowo, w sposób przykrojony do przewodniej tendencyi.

Mówiąc o miłości bliźniego i o niezgodności obecnych faktycznych stosunków w tej mierze z zasadami, głoszonemi przez etykę religijną i filozoficzną, Menger chwieje się w zdaniu, której religii etyka najlepiej odpowiada celowi społecznemu. Budda, jak już poprzednio, cieszy się względami autora, ale także Mahometowi a nawet Konfucyuszowi dostają się komplementy w wcale nieskąpej mierze. Chrystyanizm natomiast postawił zasadę miłości bliźniego na wyżynie wprost niedoścignionej dla człowieka a kościół katolicki głosi tę zasadę obok uznania porządku państwowego i prawnego, który oddzielając od siebie jednostki murem obronnym stanowi niejako negacyę chrześciańskiej normy o miłości bliźniego.

W uwagach o kłamstwie Menger, nie odróżniwszy wcale różnych jego kategoryi, miał najobszerniejsze pole do powtórzenia i uzasadnienia tego, co przedtem powiedział o moralności jako reflexie siły. To też doszedł w argumentacyi do paradoxu, że pod tym względem możni są uprzywilejowani, bo zewsząd słyszą pochlebstwa i kłamstwa a „biedni tylko muszą zawsze słuchać prawdy i darzeni są co najwięcej przez rodzinę i najbliższych przyjaciół mizernem kłamstwem prywatnem“. W tej lekcyi o kłamstwie dotkliwie dostało się Kantowi za to, że wysoko wynosił moralny obowiązek prawdomowności a tymczasem sam, chociaż prywatnie nie krył się z uwielbieniem dla Rousseau, w swojej

nauce o państwie bronił z obawy przed królem pruskim skrajnego absolutyzmu. Na szczęście nie znał Menger, jak się zdaje, wszystkich spółczesnych filozofów. Byłby bowiem u francuskiego filozofa G. Tardea znalazł wątek do najsilniejszych ciosów na obecny ustrój stosunków i panujące pojęcia moralne. Tarde bowiem uznał w jednem z dzieł swoich kłamstwo za jeden z ulegalizowanych już środków rządzenia w państwach nowoczesnych, skoro bez kłamstwa nawet pomyśleć się nie dadzą biuletyny wojenne, akcye dyplomatyczne, różne polityczne enuncyacye ministrów itd. Ale Menger tak jest zrażony do wszystkich filozofów, że nie oszczędza nawet tych, u których znalaśćby mógł pod niejednym względem silne poparcie krytycznych uwag swoich o moralności w dzisiejszym ustroju społecznym. I tak np. wprost pogardliwie potrącił „filozofa zwycięzkich junkrów pruskich“ Nietzchego, mieniąc go „nadludzkiem filozofiątkiem Bazylejskiego uniwersytetu“. A zdawałoby się, że już ze względów taktycznych Menger inaczej traktować powinien filozofa, dostarczającego swoją tezą o moralności panów i moralności niewolników jaskrawego komentarza do stosunków, wśród których podobne pojęcia powstać i nawet wielbicieli znaleźć mogły.

Po przetrząśnieniu moralnego śmietnika i niemal do gderliwości posuniętem narzekaniu na niemoc etyki z religijną i filozoficzną sankcyą norm, przystępuje wreszcie Menger do części pozytywnej, własnej nowej nauki moralności, do konkretnych projektów ujętych w osobny rozdział, którego tytuł: „o poprawie stosunków moralnych“ zdaje się wiele obiecywać. Ale i tutaj — *la critique est facile, l'art est difficile!* Bardzo ostrożnie już w poprzednich rozdziałach autor przygotował czytelnika na zawód w wielkich oczekiwaniach a sobie samemu zabezpieczył wprawdzie nie odwrót, o którym pewnie nie myślał, lecz pobłażliwość krytyki. To też mówiąc o panującej dziś chciwości dodał, że w socyalistycznym ustroju stosunków byłaby ona nie wytępiona, lecz tylko „bardzo znacznie zmniejszona“. Także i panowanie kłamstwa nie skończyłoby się w tym ustroju, lecz „może być złagodzone“. Co jednak najważniejsza, Menger uważa to za prawdopodobne, że „stanowe (zawodowe) przeciwieństwa w socyalistycznym ustroju trwać będą dalej a może nawet osiągną większą siłę“. Gdy wreszcie przychodzi już do rozwinięcia własnego programu reform, Menger tak mówi: „Postępować należy przytem (przy reformach) roztropnie i wytrwale, niejako w ten sposób, jak się zakłada wodociągi i kanały dla zmniejszenia śmiertelności. Przy

reformie moralności nie należy z góry stawiać zbyt wysokich celów praktycznych. Jedynie anarchizm. uchylający prawie zupełnie państwowe i prawne czynniki siły, mógłby -- gdyby w ogóle był wykonalny— zakreślić swojej moralności najwyższe zadania. Socyalizm, zatrzymujący maszynę państwową, wspólną własność a po części nawet własność prywatną, zadowolić się musi z konieczności stanem skromnej, średniej moralności.“

Z konkretnych wniosków reformy moralnej na pierwszem miejscu stawia Menger sprawę szkolnictwa ludowego. Dzisiejszą szkołę ludową uważa za „jedną z najważniejszych, może najważniejszą instytucyę policyjną w przeważnej części krajów europejskich. Z mocy ustawy nie jest ona naukową, lecz moralno-religijną, nie podaje więc młodemu pokoleniu w pierwszym rzędzie prawdy o naturalnych i historycznych sprawach, lecz broni przedewszystkiem panujących stosunków siły“. W państwie socyalistycznem według programu Mengera zmieni się szkoła z gruntu. Jak jednak ma być ta przyszłościowa szkoła zorganizowana, o tem autor nawet zarysu nie podaje, zaznaczając tylko, że nie zamierza „omawiać powierzchownie niezmiernego problematu szkoły ludowej“. Poprzestaje więc tylko na „fragmentarycznych uwagach“, z których to jedynie wypływa, że w dzisiejszym wieku najważniejszym materyałem nauki powinna być — hygiena. Później dojrzalszą młodzież obu płci należałoby wtajemniczać dla dobra przyszłych pokoleń — w tajniki życia płciowego, aby już ze szkoły młodzież wychodziła ze świadomością, że rodzice powinni być — umiarkowani w płodzeniu dzieci a unikać tego jak zbrodni w stanie pijanym lub w chorobie zakaźnej! Na tem koniec. O właściwej nauce szkolnej na wyższych stopniach więcej już znaleść można w nowej nauce o państwie, ale i tam tylko w fragmentaryczny sposób. To tylko pewne, że w programie tej nauki niema miejsca ani dla religii, ani dla humanistycznych przedmiotów a za to zapanowałaby niepodzielnie nauka oparta na wiedzy doświadczalnej.

Drugi punkt Mengerowskiej reformy, sięgający już po za zakres życia indywidualnego w sferę życia zbiorowego, stanowi demokratyzacya polityczna i gospodarcza społeczeństwa. Poniekąd w sprzeczności z nową nauką o państwie, gdzie postulat równości uznany został za marzenie niedoścignione, przedstawia tutaj Menger ten sam postulat na polu politycznem jako ziszczalny w programie reformy społeczno-moralnej. „Istota politycznej demokratyzacyi — mówi autor — polega na tem, żeby każdy obywatel

państwa bez względu na wykształcenie, stan i majątek, przynajmniej w najdalszym zakresie posiadał równy wpływ polityczny tak, aby w ręku grup i jednostek nigdy nie mógł się koncentrować wpływ zbyt wielki i zbyt trwały". Stanowi takiemu najlepiej dziś odpowiada republika a najwięcej odbiega od niego absolutna monarchia. A może z wywodów Mengera prędzej dałby się wysnuć ten wniosek, że stanowi temu odpowiada zarówno dobrze republika, jak monarchia, byleby tylko — posiadała rząd słaby albo w ogóle, popadłszy w rozstrój, nie miała żadnego rządu!

Demokratyzacya życia gospodarczego stanowi istotę socyalizmu. Polega ona na tem, że „każdemu członkowi społeczeństwa dostarczone być muszą przedmioty i usługi potrzebne do godnej człowieka egzystencyi prędzej, zanim zaspokojone będą mniej pilne potrzeby innych." Znowu więc teraz nie chodzi już jak poprzednio o równość, lecz o „daleko idące ujednostajnienie gospodarcze". W sposób dogmatyczny łączy Menger z gospodarczą demokratyzacyą zapowiedź panowania prawdziwej miłości bliźniego i braterstwa, w ogóle raju ziemskiego. Wprawdzie „znikną lub mocno osłabione zostaną militarne, polityczne i religijne ideały naszych czasów", ale co to wszystko znaczy, kiedy na miejsce tych ideałów otrzyma się „moralne, umiejętne i artystyczne udoskonalenie ludzkości". Teraz dopiero przy malowaniu promiennego obrazu przyszłej doskonałości pod znakiem socyalizmu wymknęło się Mengerowi niespostrzeżenie uznanie, że jednak nie zawsze było tak źle, żeby zburzenie państwa i prawa dzisiejszego oraz wyrugowanie wszelkiej religii musiało być uważane za konieczny warunek i wstęp do poprawy stosunków. Było niegdyś lepiej z urządzeniami dzisiejszego typu a zatem mogłoby być lepiej, chociażby socyalizm nie zdołał zrobić ze wszystkiego *tabulam rasam.* Temi słowy bowiem zamyka Menger swój obraz przyszłego raju socyalistycznego: „Dawny węzeł między prawem a moralnością, który w naszych czasach prawie zerwany został, byłby przez zaprowadzenie socyalistycznego ustroju znowu silniej zawiązany. Średniowieczny kościół prawie nie znał przeciwieństwa między prawem a moralnością: kościelne księgi praw, pochodzące z XII.—XIV. wieku zawierają prawne i moralne przepisy w nieprzerwanej łączności. Później rozwinęło się prawo w organizm potężny, wykończony do najmniejszych szczegółów, kiedy tymczasem nauka moralności zeszła powoli na mizerny, w praktycznem życiu mało uwzględniany przyczepek."

Ten skąpy rejestr środków swojej reformy moralnej zamyka Menger zwrotem do opinii publicznej, której już poprzednio w nowej nauce o państwie zakreślił tak ważną rolę dla życia prawnego. Jak tam, tak i tutaj w nauce moralności, zalecone jest wydawanie organów urzędowych, w których byłyby publikowane czyny niemoralne. Także i publiczne zgromadzenia, na których byłyby ogłaszane czyny niemoralne, wydają się Mengerowi dobrymi środkami represyi i poprawy stosunków moralnych. Chodzi tutaj więc o nowy rodzaj infamii, przykrojony do stosunków i życia w państwie socyalistycznem. O skuteczności tak tego środka reformy, jak i innych poprzednio wskazanych, jest Menger na prawdę przekonany, bo w formalnej extazie dla swoich ideałów socyalistycznych wierzył święcie w odrodzenie się ludzkości pod znakiem tych ideałów. W tej extazie odróżniał trzy fazy rozwoju kultury, pierwszą jako okres religii ludowych u Greków, Rzymian, Germanów i Słowian, drugą w czasach chrześciaństwa, wreszcie trzecią, zbliżającą się w epoce socyalizmu. Mniemając, że tą extazą porwał za sobą czytelnika, apeluje do jego ślepej wiary i nową naukę moralności a z nią i całą swoją karyerę naukową kończy taką proroczą prognozą przyszłości: „Trzeci stopień w moralnym rozwoju zachodniego świata kultury stanowić będzie socyalizm, który przez niepowstrzymany upadek chrześciańskiego życia tak samo stał się historyczną koniecznością, jak niegdyś chrześciaństwo przez upadek świata pogańskiego. Socyalistyczna nauka moralności rezygnuje z wszelkiej religijnej podstawy, z wyobrażenia, że moralne przykazania pochodzą od bóstwa, z widoku na przyszłe życie, gdzie dopiero ludzkie działanie znaleść ma sprawiedliwą nagrodę lub karę. Natomiast przekształci socyalizm tradycyjne stosunki siły tak, że z przeobrażonego ich ustroju wyniknąć musi z konieczności doskonalsze życie moralne. Tak tedy socyalizm może spodziewać się, że sprowadzi moralność, która jako zabezpieczona przed reakcyami religijnego poczucia, zdolna będzie do zapewnienia nieprzerwanego rozwoju ku moralnym ideałom ludzkości... W obecnej chwili socyalistyczna moralność jest najwyższym ideałem moralności czysto ludzkiej, wolnej zupełnie od religijnej wiary w dogmaty. Ale strzedz się musimy podzielania mrzonki nieomylności chrześciańskiego kościoła i oddawania się urojeniu, żeby historya świata wypowiedziała kiedy ostatnie słowo o problemacie ludzkiej moralności.“

Rzecz to godna uwagi, że książkę, w której w tonie lekceważącym traktowane jest wszystko, co nie wypływa z wiedzy

doświadczalnej i nie opiera się na niej, co nie wchodzi w ramy „doświadczalnego światopoglądu“ jako ewangelii przyszłości, że tę ostatnią książkę, więc niejako swój testament naukowy, Menger zamyka w sposób, stanowiący przeciwieństwo metody doświadczalnej, bo apostrofą trzymaną w tonie dogmatyczno-proroczym!

Dr. Bronisław Łoziński.

(Dokończenie nastąpi).

PODRÓŻE KRÓLEWICZA POLSKIEGO,

późniejszego króla Augusta III.

(Niemcy — Francya — Włochy).

1711—1717.

Z dyaryusza rękopiśmiennego wydał

Alexander Kraushar.

(Ciąg dalszy.)

Zaraz tedy Veni Sancte Spiritus muzyka wyśmienita z głosów i instrumentów rozmaitych grać poczeła, i msza wielka śpiewana wyszła, którą celebrował Biskup pewny de Neihaus z Austriey, podczas której wszyscy posłowie Acatholici jakoto Saski i Brandeburski i Hannowerski retyrowali się ad conclave zaraz przy tym chórze po prawej ręce będące, alias do Zakrystiey. Po mszy skończonej przy muzyce, przyszli na swoje miejsca Posłowie Acatholici, i zaraz Elektor Jm. Moguncki szedł najpierwej do ołtarza wielkiego i stanął przy ołtarzu, twarzą obróciwszy się do ludzi, za nim szli inni i po prawej ręce przy nim stanął Elector Palatinus Rheni, przy nim poseł Czeski i Pruski albo Brandeburski, po lewej zaś Elector Trevirensis, Poseł Saski i Hannowerski. Zkąd patet, że tym porządkiem stanęli jako in Stuba Electorali na Ratuszu zasiadają (jako się to już wyżej sub data 2. 8-bris opisało). Że zaś Elektor Trewirski, który jako Ecclesiasticus

procedit zawsze Electorem Palatinum. tu zda się, jako też in Stuba Electorali niżej. bo po lewej ręce siedzieć albo stać, ta jest racya, że po prawej ręce przy Elektorze Moguneckim miejsce jest teraz wakujące. że nie masz Elektora Colońskiego. któremu to miejsce należy. Jednakże Elektor Trewirski jest wyższy miejscem od Colońskiego, bo gdy jest Cesarz, tedy przy nim prawą rękę bierze Elector Moguntinus. a lewą Trevirensis. a dopiero przy Moguneckim Coloński. Stanąwszy tym rzędem przy ołtarzu, Elektor Jm. Mogunecki tanquam Cancelliarius et Director. uczynił krótką przemowę po niemiecku ad Electores, w ten sens, że ponieważ zjachali się na to miejsce nie innym końcem tylko. aby Regem Romanorum Caput Imperij obrali i na tronie Cesarskim teraz per fata Cesarza Josepha Pierwszego wakującym osadzili, więc pytał się jeżeli Coelectores do Elekciey przystąpić byli gotowemi i jeżeli eo fine przysięgę według porządku in bulla aurea opisanego wykonać chcieli? Na co gdy wszyscy odpowiedzieli jednym terminem. że to wypełnić gotowi. Elektor Jm. Mogunecki zawołał dwóch Sekretarzów z Cancellarjej swojej przysięgłych i kazał im to pierwsze pytanie i konsens. in forma solita w acta zapisać, i że ich chce mieć za świadków rei gestae in tempore et casu necessitatis. Na co gdy Pisarze odpowiedzieli, że rozkaz ten chcą wypełnić i że omnes ad stantes za świadków sobie przybierali in testimonium. aktu tego solennie zapisanego. Tandem Mr. Lasser Vice Chancelier de Majence podał Elektorowi Jm. Trewirskiemu papier, na którym była rota przysięgi napisana, który papier Elektor Trewirski podał Moguneckiemu i Mogunecki prawą rękę do piersi przyłożywszy. w lewej papier trzymając. more Duchownych przysięgał. sam głośno czytając rotę. Gdy skończył, oddał tę rotę JP. Lasserowi Podkanclerzemu swemu, a wziął od niego drugi papier, na którym była podobna rota przysięgi i podał ją Elektorowi Trewirskiemu. który tymże sposobem jako i Mogunecki przysiągł i oddał papier J. Panu Lasserowi. Tandem tenże Mr. Lasser podał Elektorowi Moguneckiemu trzeci papier z przysięgą in eandem formam tylko mutatis nominibus propter Electorem Palatinum Rheni. któremu gdy Elektor Mogunecki podał ten papier, on rękę prawą i dwa palce do góry podniósłszy (jakto świeccy zwykli) w lewej ręce papier trzymając. czytał także w głos i przysiągł. I tym sposobem dla wszystkich innych czterech posłów. Czeskiego. Saskiego. Brandeburskiego i Hannowerskiego. osobliwy papier dla każdego Mr. Lasser podawał. Elektorowi Moguneckiemu. a on każdemu dawał i każdy na

swoim miejscu stojąc, dwa palce podniószszy głośno rotę czytał i przysięgał. Przysięga zaś, którą czynili, jest in bulla aurea wyrażona w ten sens, iż każdy Elektor ma nominować Króla Rzymskiego nie z respektu, ani przyjaźni, albo interessu, ale tego, którego według sumienia godnym i sposobnym być baczy, do rządzenia Cesarstwa. Co gdy się skończyło, znowu Elektor Jm. Moguncki pisarzom namienionym wpisać in acta przysięgę wykonaną kazał i protestował się, że ich za świadków brał. His per actis poszli wszyscy Elektorowie i ci pierwsi Posłowie ad Conclave, sami tylko nikogo więcej nie puszczając, a Mr. le Comte Papenheim Mareschalcus Haereditarius Imperij zawsze przy drzwiach stał, ale extra Conclave, Secundi także et tertii ordinis Posłowie w kościele wszyscy zostali się. Tam, gdy się zabawili blisko pół godziny, kazano przyjść ad Conclave secundi et tertii ordinis Posłom i dwom namienionym Pisarzom i innym barzo niewielu kawalerom, albo Prałatom: bo sciendum, że każdy Elektor i każdy Poseł ex septem Eligentibus, nie mógł więcej tylko pięciu ludzi naznaczyć, coby ad conclave wchodzili, a szesnaście co do kościoła samego puszczono za kartami na to danemi i to w tę liczbę wchodzili secundi et tertij ordinis Posłowie, którzy in hoc actu, już nie Posłów, ale tylko świadków raeprezentowali. Gdy tedy jako się namieniło, po pięciu od każdego Elektora i poselstwa osób wpuszczono ad Conclave i dwóch Pisarzów, Elektor Jm. Moguncki opowiedział ad stantibus, że ponieważ Bulla aurea opisuje, aby Regem Romanorum obierać, jeżeli nie może być un animi voce, tedy pluralitate i że tego co stanie pluralitate, Elekcya ma być tak ważna, jakoby omnium consensu stanęła, i że na tym fundamencie już actu Collegium Electorum do obierania chciało przystępować. Na co gdy wszyscy jednostajnie odpowiedzieli, że to jest według prawa i że taka elekcya powinna być ważna; kazał Pisarzom to samo zapisać i na ustęp znowu wszystkim kazano. Gdy tedy sami tylko zostali się, nie wyszło pół godziny, znowu tychże samych co i pierwej przywołano i Pisarzów; i opowiedział im Elektor Jm. Moguncki, że po słusznej deliberaciey zdało im się wszystkim przystąpić ad suffragia colligenda, i uważywszy jako Dom Austryacki pobożnie, sprawiedliwie i łaskawie, od tak wielu wieków im panował, że obrali Carola trzeciego Króla Hiszpańskiego, który ma być Carolem szóstym między Cesarzami; i potym obróciwszy się ad Coelectores, pytał się ich, jeżeli to przyznają i jeżeli nie dobrze wyexplikował, aby się odezwał ten, coby inaczej rozumiał? Na co gdy wszyscy od-

powiedzieli, że to ich jest a nie inne zdanie, kazał to samo Pisarzom zapisać. Potym pytał się coram ad stantibus, jeżeli jest który Minister z plenipotencyą od Neoelecta, żeby teraz imieniem jego Capitulacyę noviter uczynioną poprzysiągł. odezwał się JP. Graff Windisgratz, że miał plenipotencyę, którą gdy w ręce dał Elektorowi Jm. Moguuckiemu, a on innym Coelectoribus communikował, kazał tę plenipotencyę JP. Lasserowi Podkanclerzemu swemu głośno czytać i zaraz potym Mr. Windisgratz przy ołtarzu in Conclavi na to wystawionym klęknął i przysiągł. Co gdy się stało, kazał Pisarzom i elekcyę deklarowaną i plenipotencyą i przysięgę uczynioną zapisać i opowiedział potrzebę, aby tę elekcyę Populo ogłosić i do ogłoszenia tego nominował najpierwszego między Prałatami Daecanum Moguntiae, i zaraz Elektorowie powinszowawszy tego honoru JP. Windisgratzowi wyszli ex Conclavi i wchodzili na theatrum we szrzodku kościoła umyślnie wystawione, czerwonym suknem słane, na którym siedm krzeseł karmazynowych axamitnych pod baldachinem stało, i gdy miejsca swoje zwyczajnym porządkiem zasiedli, Dziekan Mogunski stanąwszy na boku po prawej ręce, bokiem do Elektorów i do ludzi, krótkimi słowy po niemiecku opowiedział, że z Bożej osobliwej Prowidenciey, et ex unanimi Voto Electorum Król Jm. Karol, królem Rzymskim obranym stanął i vivat zawołał, za którym wszyscy wielkim głosem vivat wołali i zaraz w dzwony wszystkie uderzono po wszystkich kościołach i z dział dokoła miasta po wałach bić poczęto. a Elektorowie zszedszy z theatrum szli do małego choru na miejsca swoje do form, spiewano przy hucznych muzykach Te Deum Laudamus etc. Po którym skończonym wyszli z kościoła, na konie wsiedli i tymże jako tam jadąc marszem, porządkiem i assistencyami powracali nazad do Ratusza Remer nazwanego, tylko spiesznicj już jachali i dla tego już barziej tumultuarie, bo chmury następowały i deszczem straszyły, jakoż zaraz gdy się marsz skończył, deszcz padać począł, a przez wszystek czas ceremoniey pogoda piękna służyła. Przyjachawszy przed Remer, z koni pozsiadali i nie wchodząc więcej ad stubam Conferentiarum każdy Elector szedł prosto do swego pokoju dla rozebrania się i zaraz się ztamtąd rozjeżdżali już nie na koniach ale w karetach każdy do siebie. Najpierwej Xże Elektor Moguncki, po nim Trewirski, Palatinus Rheni, każdy z swojemi assistencyami: a potym Posłowie Czeski, Saski, Pruski, Hanowerski, którzy nie rozbierając się w swoich strojach jachali do domu. A na ostatku Mr. le Comte Papenheim Mareschalcus Haeredita-

rius Imperij wyjachał i klucze tak kościołowi jako i Magistratowi od bram oddał. Co wszystko począwszy od dziewiątej z rana, aż do trzeciej z południa trwało, nim się rozjachali. Tandem mieszczanie co byli uszykowani, chorągwiami odchodzili, a po nich garnizon. Nōtandum, gdy już Elektorowie powracali z kościoła do Remer, uczynił się tumult i wołać poczęto, że w mieście gore, i słychać było, że sławny partyzant francuski, nazwany La Croix subordynował ludzi, aby miasto zapalili we dwunastu miejscach razem podczas Elekciey, gdzie wszystek lud domy pozawierawszy, wyszedł dla widzenia tych ceremonij, a nawet i to słychać było, że już ludzie subordynowani mieli szukać sposoby, aby pod sam Ratusz podkopać się i miną z Elektorami Ratusz wyrzucić. Ale jeżeli to pewna, trudno twierdzić, i choćby tak było, do tego im nie przyszło: jednakże jeden incendiarius blisko kwatery Elektora Jm. Moguuckiego stajnię był zapalił, co szczęściem postrzeżono i ugaszono, i tak znać i innym do exekuciey tej złości nie przyszło, bo się na tym wszystko zakończyło, a że JP. Graf Windisgratz zaprosił do siebie na bankiet wszystkich Elektorów Jm. i Posłów, więc już samym prawie wieczorem zjachali się do niego i od piątej aż do dziewiątej u stołu siedzieli solennissime traktowani, Elektorowie Jm. siedzieli swym porządkiem, to jest Elektor Jm. Mogunckí na miejscu najwyższym w posrzodku stołu owalnego, przy nim po prawej ręce Elektor Trewirski, po lewej Elector Palatinus Rheni, Posłowie zaś tak pierwsi, jako secundi et tertii ordinis siedzieli pele mele to jest ręki nie upatrując, ale jako się któremu trafiło.

I tak ten dzień zszedł na samej ceremoniej i bankiecie.

XI.

Audyencya u elektora mogunckiego. — Narada ministrów. — Parada elektorów. — W kościele. — Przysięga przedelekcyjna. — Karol III. król hiszpański Cesarzem.

13. Octobris. Posyłałem rano do JP. Grafa Schemborna, Marszałka Wielkiego Moguntiae, prosząc o audyencyę u Elektora Jm. Mogunckiego i o naznaczenie godziny. Więc rano o dziewiątej przed sessyą (na którą się jeszcze dziś zjeżdżali Elektorowie) byłem u Elektora Jm. Mogunckiego, zwyczajnym sposobem (jako

w przeszłych audyencyach opisano) przyjęty i podałem memoryał łaciński ręką moją podpisany. ad Collegium Electorale, w którym według woli Króla Jm. wszystkie puncta. to jest desideria Króla Jm. i Rzpltej wyraziłem: a ponieważ te interessa nie mogły się pomieścić przed terminem elekciey, przed którym tylko około ułożenia Capitulaciey pracowano, a do Capitulaciey nihil admissum tylko co porządek in Imperio albo władzę cesarską i Elektorów concernebat: i gdybym był podał memoryał na ten czas. tedyby z innemi wszystkiemi materiami do Elekciey nie należącemi poszedł w remissę. Więc ponieważ się już Electia skończyła. wolałem uti tempore opportuno i prosiłem Elektora Jm. Moguncckiego jako Directorem Serenissimi Collegij. aby namieniony memoriał na sessiey publicznie proponat. et institi tym barziej o to, iż przyszły były niedobre wiadomości. jakoby pokój z Turkami i Moskwą uczyniony. chwiać się począł i Turków przeciwko Polszcze Król Szwedzki animował etc. Co Elector Jm. z chęcią uczynić deklarował i uczynił. (ponieważ na tej zaraz sessiey interessa Króla Jm. przez Ministra swego proponować kazał i memoriał publicznie in praesentia wszystkich Elektorów i Ministrów czytano. o którego kommunikacyę wszyscy prosili dla uczynienia nad nim reflexiey ante resolutionem). Wyjachawszy od Elektora Jm. Moguncckiego. jachałem prosto do Elektora Trewirskiego. u którego także miałem naznaczoną godzinę przed sessyą. któremu interessa publiczne i memoriał. który miał zaraz wnijść w deliberacyą, rekommendowałem. motiva et pericula imminentia od Turków opowiedziałem etc. Potym byłem u JP. Grafa Stadiona, który jest Grand Maitre i pierwszy Minister de Majence i na konferencyach pierwsze miejsce między Ministrami Elektora Jm. Moguncckiego zasiada i on słowem ma dispozycią Directorij Moguntini, zalecając onemu podany do rąk Elektora Jm. memoriał i interessa w nim wyrażone rekommendując. Byłem potym u Mngra Albaniego, któremu memoriał per copiam kommunikowałem i prosiłem jako w tym jest interess nie tylko Króla Jm. i Rzplitej. ale consecutive totis Christianitatis. gdy Turczyn armuje się i wojnę przeciwko nam gotuje. aby i on imieniem Ojca Ś-o Capitis Christianitatis authoritatem suam interponat et secundet instancie J. Kiej Mc. i Rzplitej w memoriale wyrażone. Przed wieczorem jachałem z Królewicem Jm. na promenadę na miejsce zwyczajne za miastem nad Maenem. gdzie wszyscy Elektorowie Jm., że czas był piękny wyjachali i na trzysta innych karet było. Samym wieczorem powróciliśmy do gospody. Byłem

także u JP. Windisgraza, posła Czeskiego, gdzie i innych dwóch zastałem, z komplementem winszując im, że Electia stanęła szczęśliwie et sors cecidit na osobę Króla Jm. Hiszpańskiego, oświadczając ukontentowanie ztąd Króla Jm. i Rzplitej, że ad impleta sunt vota eorum etc.

14. 8-bris. Uprosiwszy sobie godzinę rano przed dziesiątą, byłem u Elektora Jm. Palatinum Rheni, rekomendując onemu pariter interessa publiczne w memoriale wyrażone, który memoriał według decyziej wczorajszej sessiey dziś miał być wszystkim Elektorom i Ministrom z Cancellariey Mogunckiej kommunikowany per dictationem, to jest na pewną godzinę, o której Cancellarius Moguntinus przestrzega, posyłają wszyscy Ministri swoich Sekretarzów do Cancellariey Mogunckiej, i tam im jeden Cancellarista diktuje, a orygınał zostaje zawsze circa directorium, to jest w Cancellariej. Byłem potym z wizytą u Xżęcia Sultzbacha młodego, co jest Haeres praesumptivus Electoratus post Domum Palatinam Neoburgicam jak ta steriliter zejdzie, gdzie Baron Zikingen jego Gubernator wychodził przeciwko mnie na pół schodów, a sam Xże do drzwi drugiego pokoju. Byłem także u JP. Barona Forstnera, Ablegata Xcia Jm. Lotaryńskiego, oddając mu wzajemną wizytę. A że się od JPP. Posłów Saskich informowałem, że gdy wczorajszego dnia czytano in publico mój memoriał Jm. PP. Posłowie Czescy i Hannowerscy odezwali się, że w tych interessach jeszcze nie są instructi od swoich Principałów. Więc byłem u JP. Barona Göriza, pierwszego Posła Hanowerskiego, gdzie byli na obiedzie zaproszeni wszyscy Posłowie Czescy i Brandeburscy, i tam w gromadzie i z każdym separatim expostulowałem, przypominając im, że od samego początku Elekciey lubo memoriału nie podawałem Collegio Electorali ex quo te interessa non respiciebant immediate Elektię, około której szczególnie pracowano, ale przy oddaniu listów Credencialnych do każdego Elektora, ustnie te samme interessa im proposui i że ci obiecali donieść principałom swoim dla otrzymania od onych instrukciej, która osobliwie Elektora Jm. Hannowerskiego, (który nie jest jako Król Hiszpański za morzem) mogła już nie raz ale kilka razy stanąć etc. i żywo z nimi o to expostulowałem jako się w relacyach do Króla Jm. obszernie opisało, oraz i ich repliki i jako to omieszkanie exkuzowali, tamże opisałem. Byłem potym u JP. Grafa Stadiona, prosząc go, ponieważ memoriał już był wszystkim kommunikowany, aby chciał Ministrów wszystkich convocare, dla wzięcia de super rezolucyi potrzebnych, co na dzień jutrzejszy

uczynić deklarował i secundować o tak słuszne instancye Imieniem Elektora Jm. Moguńckiego obiecał i potrzebował, aby mu in compendio napisać niemieckim językiem dla łacniejszego innym wytłómaczenia desideria Króla Jm. i Rzplitej. Com obiecał, i zaraz jachałem do JP. Grafa Werthera, Posła Saskiego, prosząc aby jako dobrze wiadomy tych interessów, raczył je compediose et punctatim po niemiecku napisać: co gdy nie bawiąc uczynił, posłałem zaraz te informacye pomienionemu Ministrowi. Przed wieczorem Mgr. Albani przysłał swego Cawalera, prosząc Królewica Jm., mnie, JP. Miltiza i Morteisena na objad do siebie na dzień jutrzejszy, na który dzień i Saskich wszystkich Posłów zaprosił. Tegoż dnia samym wieczorem byłem u JP. Grafa Schliebena, odjeżdżającego nazad do Wiednia, który kilka razy był u mnie. Na kolaciey byliśmy z Królewicem Jm. u JP. Barona Frisa, zkąd późno w nocy powróciliśmy.

15. Obris. Monsieur le Baron Görtz pierwszy, za którym potym przyjachał Mr. Schrader, drugi Poseł Hannowerski, byli u mnie rano, deklarując, że już odebrali ordynans wyraźny od Elektora Jm. Hannowerskiego, aby się we wszystkich rezolucyach co concernent moje propozycye, akkomodowali ad majora Vota, to jest ad pluralitatem Votorum innych Elektorów i sam mi ordynans oryginalny praezentowali. Za co im podziękowałem i zaraz tę deklaracią kommunikowałem Jm. PPnom Posłom Saskim: a że Elektor Jm. Palatinus Rheni tego dnia odjeżdżał do zamku swego Szwecingen nazwanego na łowy dziesięć mil ztąd, a mila tylko od Heidelbergu rezydenciey swojej, którego miał i Elektor Jm. Trewirski tamże wkrótce sequi. Więc prosiłem o audyencyą Elektora Jm. Palatinum i byłem u niego przed południem, życząc drogi szczęśliwej i prosząc, aby Ministra, którego zostawić tu na miejscu swoim raczył, dla zakończenia tych interessów, i wzięcia rezoluciey nad memoriałem, która ex re videbit. Co deklarował. Byłem potym u JP. Grafa Stadiona, który że dla pewnych przeszkód odłożyć konferencye cum Ministris musiał, obiecał ich na dzień jutrzejszy convocare i actu ich dziś obesłał. JP. Graf Werther był u mnie na konferenciey. Także Mr. Miltiz Consiliarz Xcia Landtgrafa de Darmstadt, brat JP. Miltiza, co jest przy Królewicu Jm, był u mnie z wizytą. Na objedzie byłem z Królewicem Jm. u Mgra Albaniego, gdzie pro miscue siedzieliśmy u stołu, nie uważając miejsca wyższego; na tym objedzie byli wszyscy trzej Posłowie Sascy JX. Salerna, l'Abbé Bussi synowiec Nunciusza w Coloniey będącego, le Marquis Santbecari z Bono-

niey. in summa z Królewicem Jm. i z naszą kompanją osób 15, gdzie Królewic Jm. był nadzwyczaj kontent i wesoły, jakoż był splendidissime częstowany i z wielkim honorem przyjęty, bo sam Mgr. Albani przyjmował go u karety i odprowadzał do karety. Tegoż dnia byłem chez Madame la Comtesse de Waldeck, która jest Abbatissą w Westphaliey, nad pannami zacnego urodzenia wiary luterskiej, odwożąc jej konterfekt Królewica Jm., o który prosiła i tegoż dnia odjachała z Frankfortu.

16. 8-bris. Conferencia była wszystkich Ministrów u JP. Grafa Stadiona nad moim memoryałem i po różnych kontrowersyach wzięto rezolucye bardzo dobre in favorem Króla Jm. i Rzplitej i postanowiono pisać o tym do Cesarza noviter obranego, rekommendując onemu interessa Rzplitej, et exhortando aby assistat Królowi Jm. i Rzplitej, którego sami Elektorowie secundować deklarują przeciwko Turkom i aby manuteneat neutralitatem, aby Polska albo Saxonia non invadatur od Szwedów à Provinciis in Imperio sitis etc. etc. jako się te rezolucye obszernie w relacyach do Króla Jm. opisały. Tegoż dnia Mr. le Comte Weltz, Consiliarz Cesarza Jm. przeszłego, był przed gospodą, chcąc być u mnie, ale mię nie zastał.

17. 8-bris. Ponieważ Elektor Jm. Trewirski odjażdżał (jako się wyżej namieniło) do Schwetzingen ad Electorem Palatinum na łowy, byłem u niego życząc drogi i powrotu szczęśliwego, oraz prosząc, aby Minister, którego na miejscu swoim zostawił dla zakończenia tych interessów i expedyowania rekomendaciey do Cesarza Jm., co ochotnie deklarował i naznaczył Mr. Langenbacha Consiliarza swego, dawszy mu ordynans, aby we wszystkim secundował desideria Króla Jm. i Rzplitej. Byłem potym przed gospodą JP. barona Huntheim, pierwszego ministra Electoris Palatini, ale żem go nie zastał, bo już wyjachał był za Principałem swoim do Szwecingen. Więc byłem u JP. barona Zikingen, co tu był Posłem na elekcyą przed przyjazdem samego Elektora Jm., którego także już na siadaniu w tę drogę znalazłem i rekommendowałem mu też interessa, aby u Elektora Jm. o prędką expedycyą dopomógł. Tegoż dnia Mngr. Albani przysławszy wprzód Cawalera swego, potym sam przyjachał z ceremonją i assistencyą w karecie wielkiej bogatej, wewnątrz i z wierzchu haftowanej, sześcią końmi; domowi wszyscy pazie i lokaje przed nim szli, w karecie z nim siedzieli l'Abbé Bussi i jeden jegoż kawaler; Królewić Jm. do wschodów wychodził, rękę ustępując et passum, dając titulum Excellentiae i krzesło praesentując, ale siedzieć nie

chciał. Zabawiwszy się blisko pół godziny, pożegnawszy Królewica Jm. (bo nazajutrz odjeżdżał do Coloniey) retyrował się, którego Królewic Jm. tymże jako przyjmując sposobem do wschodów odprowadzał, a jam sprowadzał na dół i Mr. Miltiz i inni Kawalerowie Sasscy, co się byli dla assistenciey Królewicowi Jm. zgromadzili. Tegoż dnia Mr. le baron Tastung, pierwszy Minister Elektora Jm. Trewirskiego był u Królewica Jm., chciał być i u mnie, ale mię nie zastał. Byli potym u mnie Mr. le baron Hagen, drugi poseł Saski i Mr. le baron Drost Canonik de Paderborn, który z Rzymu noviter przyjachał i list do mnie i rekommendacyą od JXdza Szenka przywiózł, aby go praesentować Królewicowi Jm.

18. 8-bris. W dzień urodzenia Królewica Jm. JMcie PP. posłowie Sascy i innych wiele Kawalerów byli z powinszowaniem u Królewica Jm., który tego dnia rok szesnasty począł. Tegoż dnia był w mieście triumph ex occasione elekciey szczęśliwie skończonej, Magistrat z dział bić kazał do koła miasta rano o szóstej, w południe i wieczór, za każdą razą po trzy razy dokoła strzelano; w dzwony po kościołach dzwoniono, Te Deum laudamus etc. w ich kościele przy muzyce spiewano etc. etc. Tegoż dnia byłem u Mgra Albaniego i konferencyą miałem z nim dosyć długą i JX. Salerną. Mr. Langenbach, Minister Elektora Jm. Trewirskiego był u mnie z wizytą i oddał mi imieniem swego Principała literas recredentiales, to jest respons ad meas credentiales literas. Na kolaciey byliśmy u Jm. P. barona Frisen, gdzie był koncert z trzech luteń, to jest Capelmaister Elektora Jm. Moguneckiego z dwoma córkami grał, ale córki ojca samego przeszły in perfectione. Także na osobliwym instrumencie na kształt cymbałów, ale delikatniejszym nierównie, na dwieście strun mającym grał, pewny sławny muzykant z Lipska Pantaleon nazwany z niewymowną prędkością i perfekcyą. Z tej kolaciey późno w nocy powróciliśmy do gospody.

19. 8-bris. Pożegnałem rano Mgra Albaniego. Byłem potym chez Mr. Lasser Vice Chancellier de Majence, który gdy mi kommunikował list à Collegio Electorali napisany do Cesarza Jm. i już podpisany od Elektorów Jm. Moguneckiego, że w nim nie znalazłem terminów pewnych essencialnych, prosiłem, aby odmieniono i dołożono terminy opuszczone. W czym wielkich zażyło się trudności, jednak, że szło de autorithate Elektora Jm., że już był podpisał, druga że mutationem hanc trzeba było kommunikować wszystkim Ministrom dla consensu, ile że już ten pierwszy

list per dictaturam był im z Cancellariey kommunikowany, jednakże fortiter instliti z racyi fundamentalnych, które obszernie w relacyach do Króla Jm. opisałem i byłem zaraz w tejże materiey u JP. Grafa de Stadion. Tegoż dnia byli u Królewica Jm. Mr. le Comte Lerchenfeldt, Mr. le Comte Bavarois, Mr. Adlersberg Rezydent Xżcia de Wolffenbutel. Byli także u mnie JM. PPwie Lubomirscy młodzi, synowie JP. Kasztelana Krakowskiego, Hetmana W. Kor. z waledykcyą, ponieważ odjeżdżali do Heidelbergu, a ztamtąd do Akademiey w Nancy w Lotharingiey.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Fryderyk Nietzsche

i jego znaczenie w ruchu umysłowym współczesnym.

Ruch umysłowy rozpoczął się w początkach wieku XIX. potężnym wzlotem pod wpływem filozofii Kanta, rewolucyi francuskiej, tudzież pod wpływem wielkich odkryć i wynalazków. wszystko to razem zapowiadało jak gdyby nową erę ludzkości. Ruch ten miał w początkach zeszłego wieku charakter idealno-romantyczny. Po trzech dziesiątkach lat stosunki zmieniły się nastała reakcya: umysły zaczął opanowywać empiryzm i przyrodniczy dogmatyzm: dokonał się zwrot do pracy na polu przemysłu, do finansowości, do handlu. Ludwik Filip zawołał do Francuzów: „Bogaćcie się“, a za tym hasłem poszli nie tylko Francuzi, ale poszły wszystkie narody europejskie. Rok 1848 stanowił w tej fazie przerwę krótką tylko. prąd zaś dawny trwał i rozwijał się dalej. Dopiero znowu w latach między 1860—70, a szczególnie po roku 1870 zaczęły stosunki nowej ulegać przemianie. W dziedzinie nauki i filozofii przyszło do pewnego krytycznego opamiętania się, literaturę zaczął ogarniać pesymizm; Schopenhauer stał się filozofem modnym i wpływowym nie wśród uczonych, ale w kołach inteligencyi, u literatów i poetów. Nawet teorye przyrodnicze takie jak np. ewolucyonizm, zaczęły wzniecać nowego rodzaju idealne nastroje. Zagadnienia społeczne wysunęły się nagle na plan pierwszy, rozpoczęła się walka o prawa polityczne najszerzej pojęte, o warunki bytu społecznego znośne dla wszyst-

kich, dalej walka przeciw egoizmowi klasowemu na różnych polach. Równocześnie nauka i filozofia zaczęła stawać się coraz więcej krytyczną: dawny dogmatyczny sposób patrzenia na zagadnienia naukowe, ustępywał powoli przed sposobem patrzenia nowym historyczno-krytycznym. Równocześnie, rzecz dziwna, rozbudził się na nowo interes do zagadnień, które uważano w połowie wieku za pogrzebane t. j. do zagadnień religijnych. Religia zaczęła zarówno w polityce jak w nauce i we filozofii coraz większą odgrywać rolę. Przyszło do niespodziewanego odrodzenia się powagi i znaczania kościoła chrześciańsko-katol. i papiestwa.

Z tego wszystkiego wyniknęło potężne zwarcie się przeciwieństw, zakotłowało w umysłach i zawrzała walka między chrześciańskim a antychrześciańskim poglądem na świat tak gwałtowna i namiętna jak nigdy przedtem. Walkę tę wczeli nietylko politycy tacy jak Bismark i wszyscy jego mali naśladowcy, nie tylko ekonomiści, działacze społeczni, dziennikarze i literaci, ale także ludzie nauki, najrozmaitszego pokroju historycy, filologowie, przyrodnicy wreszcie filozofowie, których to ostatnich liczba zaczęła nagle wzrastać w ostatnich latach wieku XIX. Stało się bowiem przy końcu wieku coś niezwykłego, oto wraz z zagadnieniami religijnemi, odżyła również filozofia i metafizyka, którym to czynnikom umysłowym w połowie wieku usiłowano także zgotować wieczny spoczynek w magazynie historyi.

Tak więc rozpoczął się pod koniec stulecia na wszystkich polach wir i zamęt szalony, sprzyjało mu zaś bardzo wielkie zbliżenie się ludzi i narodów pod wpływem ułatwionych komunikacyj, tudzież dziennikarstwa rozwiniętego do rozmiarów niebywałych. Na wszystkiem wycisnęła jednak piętno najwydatniejsze, walka poglądu na świat antychrześciańskiego z chrześciańskim. Widząc odradzający się kościół i chrześciaństwo przeciwnicy jego, powiedzieli sobie: „raz z niem należy skończyć, albo teraz, albo nigdy. Trzeba dać ludzkości jakąkolwiek religię nową, starą wyprzeć i wyrugować z umysłów całkowicie i gruntownie". Nie wszyscy jednak przeciwnicy chrześciaństwa zdawali sobie jasno sprawę z tego, co właściwie uczynić należy. Przeważna liczba była takich, którzy odrzucali wprawdzie zasadnicze podstawy chrześciaństwa, odrzucali chrześciańską metafizykę i z nią w związku stojący dogmat, czynili to zaś w imię nowych poglądów historycznych i przyrodniczych, ale jednak w zakresie etyczno-społecznym, w stosunkach prawnych, w dziedzinie wreszcie życia osobistego i towarzyskiego, pragnęli zatrzymać wiele pierwiastków z czasów

dawnych. Zaczęła więc pod takiemi wpływami ucierać się zasada połowiczna, prawdziwie filisterska zasada, że religia jest rzeczą prywatną, niech sobie ją ten lub ów w razie potrzeby pojmuje tak lub owak, byle tylko nie mieszał jej do nauki, do filozofii, a szczególnie do polityki, zasady zaś moralne dawne, tudzież porządek towarzyski i społeczny na nich oparty ma pozostać, gdyż z nim dosyć wygodnie. Następstwem takiego stanu rzeczy, była atmosfera zgniła i trująca, która wytworzyła się na schyłku wieku zeszłego; obłuda nie tylko wobec drugich, ale także, co jest najgorsze, obłuda i nieszczerość względem siebie samego, zaczęły rozpowszechniać się coraz więcej, a zamęt niesłychany wzrastał.

Jednakże ruch umysłowy wieku XIX. nie skończył w bagnie! należy to z naciskiem podnieść na jego zasługę. Jak w polityce odświeżyło się, gdyż wystąpiła na widownię dziejów Japonia, tak to samo stało się także w dziedzinie ideowej. Wiek XIX. żegnając się z nami i mając zapaść się w otchłań wieczności, wydał ostatnie dziecko swoje, przysłał nam geniusza na obraz i podobieństwo własne, pełnego grozy, potęgi i sprzeczności. W umyśle tym wielkim zakotłowało raz jeszcze to wszystko, co wiekiem całym wstrząsało i sprowadziło wybuch groźny, ale pełen polotu niesłychanego, pełen wielkości i majestatu nieopisanego. Najbardziej charakterystyczną cechą tej myśli gienialnej to szczerość i odwaga w wyprowadzaniu wszędzie i na każdem polu wyników ostatecznych, nie cofanie się przed niczem, walka z obłudą, z połowiczością, ze wszystkiem, co truje i zgniliznę sprowadza, zdarł on maskę z udawania wszelakiego, a podłość i nikczemność, strojącą się w pozory, cnoty i prawdy stratował w sposób bezlitośny. Do spokoju i równowagi nie doszedł nigdy, tak samo jak i wiek, który go wydał, ale, co jest najważniejsze, na umysłowe i moralne bagno europejskie z końca stulecia puścił prąd świeżego powietrza i tak umożliwił rozjaśnienie się kierunków ideowych i dążności w czasach późniejszych. Tym geniuszem, którego tu mam na myśli, jest największy z pisarzy niemieckich z końca XIX. wieku — F r y d e r y k N i e t z s c h e.

Urodził się Fryderyk Wilhelm Nietzsche w Röcken około Lützen, dnia 15. paźdz. 1844 r. Ojciec jego kształcił się na teologa, był jakiś czas nauczycielem domowym na dworze Altenburskim, w końcu został proboszczem w Röcken. Był to człowiek szanowany, zdolny, pełen uczuć głębszych, a przytem zamiłowany w muzyce, co niewątpliwie odbiło się także dziedzicznie na synu. Umarł w parę lat po urodzeniu się syna tj. w r. 1849. Dziad

Nietzschego był superintendentem, pisał wiele, a szczególnie żywo zajmował go ruch religijny. Matka Franciszka była z domu Oehler, osoba wesoła i żywego usposobienia, miała lat 24, gdy ją mąż odumarł, ojciec jej zaś był także pastorem. Można więc powiedzieć, że duch protestantyzmu religijnego i prawowiernego czuwał nad kolebką Nietzschego, zamiłowanie zaś do zagadnień religijnych i moralnych tkwiło mu już we krwi. Jego wielka później do chrześciaństwa nienawiść dowodzi najlepiej, jak blizkie mu ono było niegdyś, coś w rodzaju propagatora religijnego leżało niewątpliwie na dnie jego osobistości. Nietzsche sam wyprowadzał pochodzenie swojej rodziny z Polski a mianowicie od Nieckich herbu Radwan. Miała to być rodzina protestancka, która przeniosła się do Niemiec w początkach wieku XVII. Istotnie Niesiecki w herbarzu swoim wspomina, iż niejaki Gotard Niecki przeniósł się w roku 1632 do Prus, w ostatnich zaś czasach podał dr. Bernard Scharlitt wiadomość, iż znajduje się w posiadaniu rodziny Nietzschego stara pieczątka z herbem Radwan. Jako fakt znamienny należy podnieść, iż Nietzsche chlubił się tem swojem polskiem pochodzeniem i cieszył się wielce, gdy go za granicą brano za Polaka, co mu się też istotnie nieraz wydarzyło, miał bowiem rysy i typ polskiego szlachcica. Jego skrajny indywidualizm ma w sobie także coś słowiańskiego. Zachwycał się Nietzsche polskiem „*Liberum veto*“, o Koperniku zas wyrażał się z podziwem, iż jako Polak rzucił światu w oczy swoje *Liberum veto* i stanął w sprzeczności z doświadczeniem zmysłowem całej ludzkości; uwielbiał także Chopina za to, że uwolnił muzykę od wpływów niemieckich i od zamiłowania w brzydocie i w ponurości. Wspomina też Nietzsche i w listach pisanych do przyjaciół o tem swojem pochodzeniu, nadmieniając, że właściwie nazywa się Niecki (*Nietzky* w pisowni niemieckiej), co go bardzo cieszy, gdyż Niecki znaczy po polsku niszczyciel, nihilista, duch wiecznego przeczenia.

Po śmierci ojca przeniosła się matka wraz z dwojgiem dzieci, Fryderykiem i Elżbietą (obecnie pani Förster-Nietzsche, kierowniczka archiwum N-go w Wajmarze) do Naumburga nad Salą, gdzie rozpoczęło się wychowanie szkolne dzieci, z początku w szkole wydziałowej, później w gimnazyum. Niezwykłe uzdolnienie chłopca sprawiło, iż otrzymał miejsce funduszowe w szkole wyższej w Pforta, gdzie aż do roku 1864 pozostawał. Tutaj rozbudziło się u Nietzschego zamiłowanie do filologii i historyi, naukami natomiast przyrodniczemi nie miał sposobności zajmowania

się, zaś do matematyki brakło mu wprost uzdolnienia. Już w gimnazyum zwrócił on uwagę na poetę greckiego Teognisa z Megary, fakt ten jest ważny, albowiem u tego właśnie poety spotykamy się z poglądami na moralność odpowiadającymi późniejszym zapatrywaniom Nietzschego. W ostatniej też klasie gimnazyum zaczął zajmować się dziełami Ryszarda Wagnera: z owych także czasów pochodzą pierwsze jego zachwyty dla dziewiątej symfonii Bethowena tudzież dla dzieła Aischilosa i Platona. W tych samych latach zawiązał także przyjaźń z Deussenem obecnie profesorem filozofii w Kielonii. Lata od roku 1864 do 1867 spędził Nietzsche na uniwersytetach, najpierwej w Bonn później w Lipsku. W Bonn najznakomitszymi jego nauczycielami byli Ritschl i Jahn. Gdy Ritschl pokłóciwszy się z Jahnem, przeniósł się do Lipska, uczeń poszedł za nim i słuchał w Lipsku wykładów Curtiusa, Roschera (ekonomisty), Tischendorfa oryentalisty. W czasie gdy Nietzsche był uczniem uniwersytetu lipskiego, wyszły pierwsze jego prace. Po uniwersytecie przyszła kolej na rok służby wojskowej, odbył ją od jesieni 1867 do jesieni 1868 r. w pułku artyleryi w Naumburgu. W wojsku skacząc na konia uległ wypadkowi, chorował ciężko, a po chorobie udał się znowu do Lipska. Tu zaczął przysposabiać się do promocyi doktorskiej i do habilitacyi na docenta prywatnego. Ale zanim jeszcze jednego i drugiego dokonać zdołał, powołano go na profesora do Bazylei. Wydział filozoficzny w Lipsku nadał mu doktorat bez egzaminu, tylko na podstawie prac i tak już w 24 roku życia kończą się dla Nietzschego lata nauki, a zaczyna się okres nauczycielski.

Do charakterystyki czasów studenckich należy jeszcze dodać, że w Bonn wstąpił Nietzsche z Deussenem do związku burszów „F r a n c o n i a“, nabrał jednak do tego rodzaju życia takiego obrzydzenia, że go ze związku wyrzucono, gdy kolegom zaczął zbyt dosadnie wykazywać, czem oni są. Nieprzezwyciężony wstręt do palenia, do pijaństwa i do rozpusty, oto jedyna korzyść, którą wyniósł Nietzsche z tego swojego krótkiego wśród burszów pobytu. Zdaje się, że w Lipsku zerwał także stanowczo z chrześciaństwem na wierze pozytywnej opartem. Łatwo zrozumieć, że nie mogło być inaczej. Suchy a połowiczny protestantyzm nie mógł zaspokajać potrzeb tego umysłu gorącego: zresztą nie szukał on spokoju, którego nie mogło mu dać zawieszone w powietrzu zreformowane chrześciaństwo, lecz szukał prawdy: „Czyż w badaniach naszych“ — pisze do siostry — „szukamy ciszy, spokoju, szczęścia? Nie! Tylko prawdy szukamy, choćby najbardziej odstrasza-

jącej i szpetnej. Chcesz być uczniem prawdy, to badaj!" Tak budzi się w nim i całe jestestwo opanowywa namiętna miłość i pragnienie prawdy, niech ona będzie jaka chce, byle była prawdą. Staje się więc Niętzsche powoli „filozofem" w dosłownem tego wyrazu znaczeniu, to jest miłości i prawdy miłośnikiem. Najwznioślejszy *Eros* w znaczeniu Platońskiem, oto treść całego jego życia dalszego. W Lipsku zapoznaje się także z filozofią Schopenhauera i przez dalszych lat dziesięć widzimy go jej uczniem. Zachwyciły go głównie dwie myśli Schopenhauera, tj. myśl metafizyczna o pierwotności woli i etyczna o wyzwoleniu: sprzeczności jednako tkwiące w rozwinięciu systemu dostrzegł wcześnie. W Lipsku zaprzyjaźnił się także z Erwinem Rhodem, znakomitym później filologiem i przejął się bezgranicznem uwielbieniem dla Ryszarda Wagnera. Napewno można twierdzić, że już w tych czasach zarysował się przyszły kierunek umysłowy Nietzschego. Z zawodu filolog, narzeka jednak na drobiazgowość studyów filologicznych: „Nasz sposób pracowania" — pisze w liście do Gersdorfa — „jest straszny, te sto książek, które leżą przedemną na stole, to tyleż kleszczy wypalających we mnie nerw samoistnego myślenia". Na prawdę zajmywały go już wówczas nie zagadnienia szczegółowe, lecz widnokręgi dalekie i pomysły bardzo szerokie. Powołany więc do Bazylei na profesora, rozwija tam Nietzsche działalność z duchem ówczesnej uczoności filologicznej wcale niezgodną. W kwietniu roku 1869 przybywa do Bazylei i pełen otuchy rozpoczyna zawód profesorski od wykładu „Homer i filologia klasyczna". Już w marcu 1870 zostaje profesorem zwyczajnym, ale w lecie wybuchła wojna: jako Szwajcar naturalizowany wstępuje do oddziału sanitarnego: pielęgnując chorych nabawia się sam ciężkiej choroby i ze zdrowiem już na zawsze nadwerężonym wraca do Bazylei na katedrę, zabiera się do pracy zawodowej, ale siły nie wytrzymują. W styczniu 1871 r. uzyskuje urlop; także później w latach 1875/6 i 1876/7 przerywa wykłady: dla poratowania zdrowia bawi we Włoszech, zresztą pełni obowiązki swoje gorliwie, aż na koniec w roku 1879 na wiosnę ustępuje zupełnie ze zajmowanego stanowiska. Jego wykłady w Bazylei obejmowały różne działy filologii, głównie jednak zajmował się w nich historyą literatury greckiej: napisał także parę rozpraw ściśle naukowych, w roku zaś 1871 ogłosił pierwsze swoje sławne dzieło: „*Geburt der Tragödie aus dem Geiste der Musik*". Z czasów bazylejskich pochodzą także jego „*Unzeitgemässe Be-*

trachtungen" tudzież „*Menschliches Allzumenschliches ein Buch für freie Geister*" (1878). Co do wpływów duchowych, to w Bazylei miejsce Schopenhauera, którego znał tylko z dzieł, osobiście zaś nigdy go nie widział, zajmuje Ryszard Wagner. Stosunek Nietzschego do Wagnera przeszedł w czasach bazylejskich wszystkie stopnie. Najpierwej oddany mu całkowicie, pragnie pod wpływem Wagnera zreformować całą sztukę współczesną. W towarzystwie Wagnera przebywa w latach 1869 i 70 nad jeziorem czterech kantonów: mistrz muzyk, a równocześnie poeta stają się dla niego wcieleniem prawdziwie filozoficznego ducha: odtąd dla Wagnera jedynie gotów działać i całkowicie się jemu poświęcić. Owocem tego niesłychanego zapału dla Wagnera było właśnie dzieło: *Die Geb. der Trag.* Olbrzymi był wpływ tego dzieła na Wagnera, tegoż rodzinę i wszystkich jego zwolenników, natomiast filolodzy z zawodu przyjęli je z lekceważeniem. Willamowitz von Möllendorf, obecnie profesor filologi w Berlinie, napisał osobną broszurę, w której napadł na Nietzschego w sposób bardzo gwałtowny. Odpowiedzieli mu niemniej ostro w obronie przyjaciela sam Wagner tudzież Erwin Rhode. W dziele „*Unzeitgemässe Betrachtungen*" przebija się także jeszcze gorący kult dla Wagnera.

Ale już w roku 1874 rozpoczyna się zwrot.

Wagner staje się coraz większym mistykiem, twórczość jego przybiera cechy coraz więcej religijne, jakieś szczególnego rodzaju dążności metafizyczne zaczynają go opanowywać; przeciwnie Nietzsche zwraca się coraz więcej do życia rzeczywistego, duch czasu zaczyna go ogarniać: oddaliwszy się od Schopenhauera przechyla się nie do mistycyzmu, ale raczej do pozytywizmu.

Wreszcie do zerwania przychodzi w roku 1876.

W tym to właśnie roku odbywały się pierwsze przedstawienia oper Wagnerowskich w Bayreuth. Nietzsche przybył zaproszony, ale uciekł już zaraz po pierwszych próbach, wrócił raz jeszcze, jednak nie mógł przekonać się do nowej sztuki i zerwał z Wagnerem na zawsze. W czasie przedstawień w Bayreuth powziął plan dzieła „*Menschliches Allzumenschliches*", które uważać należy za pierwszego zwiastuna jego właściwej filozofii. „Teraz nareszcie odważyłem się" — pisze — „szukać mądrości samoistnie, odważyłem się zostać filozofem, gdy pierwej uwielbiałem tylko filozofów." — Posłał Niętzsche dawnemu przyjacielowi egzemplarz swojego nowego dzieła, równocześnie zaś Wagner posłał mu tekst Parsivala. Przesyłki skrzyżowały się dziwnym zbiegiem okoliczno-

ści i odtąd obaj stali się dla siebie obcymi. Wagner przeszedł ostatecznie do mistyki, Nietzsche do pozytywizmu. Jeżeli zapytamy, dla czego ci tak serdeczni niegdyś przyjaciele rozstali się ze sobą, to można odpowiedzieć, iż stali się oni sobie obcymi dlatego, gdyż ich poglądy na świat rozeszły się w kierunkach najzupełniej ze sobą sprzecznych, tak samo, jak to zresztą dokonywało się w całej umysłowości europejskiej z owych czasów. Mistycyzm albo pozytywizm, zwrot do chrześciaństwa z jednej, do myślenia tak zwanego „ściśle naukowego“ z drugiej strony, oto co się przygotowywało. Te dwa prądy sprzeczne porwały także Wagnera w jednym, a Nietzschego w drugim kierunku. Być może, iż do rozdziału przyjaciół przyczyniły się także jakieś niechęci osobiste lub plotki, ale były to na pewno pobudki natury drugorzędnej.

Ostatni okres twórczości Nietzschego, obejmuje lata od 1879—1889.

W Bazylei stracił zdrowie, opuścił posadę i przyjaciela najlepszego, pozostała mu tylko jego nowa filozofia: odtąd prowadził życie wędrowne, lata spędzał w Engadynie, zimę na Riwierze albo we Włoszech. Cierpienia fizyczne jednak zwiększały się ciągle, ogólny rozstrój nerwowy wzrastał, życie stawało się dlań — jak sam pisze — „s t r a s z n y m c i ę ż a r e m“: W takich to warunkach powstają główne jego dzieła. W roku 1880 wychodzi *„Der Wanderer und sein Schatten“*, w 1881 *„Morgenröte“*, w r. 1882 *„Die fröliche Wissenschaft“*, od 1883 do 85 *„Also sprach Zarathustra“*. W lecie 1886 wydał *„Jenseits von Gut und Böse“*. W r. 1887 *„Zur Genealogie der Moral“*. Jeszcze rok 1888 obfituje w nowe prace, na wiosnę pisze: *„Fall Wagner“*, w lecie *„Götzendämmerung“*, w jesieni zaś *„Antichrist“*, jako pierwszą część wielkiego dzieła, które miało wyjść pod zbiorowym napisem *„Wille zur Macht Versuch einer Umwertung aller Werte“* wreszcie w grudniu 1888 pisze: *„Nietzsche contra Wagner“*, do tego przybywa jeszcze wiele niezużytkowanych ułamków, przybywają liczne poezye filozoficzne, pomysły, studya. Istny filozoficzny Eros opanowywa go w stopniu coraz wyższym i z jakiegoś z początku geniusza dobroczynnego przekształca się dlań w demona strasznego od zerwania z tradycyami religijnemi domu rodzinnego, prowadzi go dalej do zerwania z metafizyką Schopenhauera, z mistyką Wagnera, aż do pozytywizmu, który go jednak także zadowolić nie zdołał. Zrywa powoli ze wszystkiemi złudzeniami, ze wszystkiem co ukochał, a przytem owłada nim jakiś dziwny fanatyzm i chęć

nawracania wszystkich na swoją nową wiarę. Przyjaciele zaczynają powoli odsuwać się od niego, publiczność czytająca nie rozumie jego dzieł nowych, prasa, krytyka, uniwersytety ignorują go. Skarży się Nietzsche na opuszczenie, na samotność. „Jestem coraz samotniejszy“ — pisze w jednym z listów — „coraz chłodniejsze wieją na mnie wichry — o jakże wszystko odemnie ucieka, około mnie tylko moje dawne zagadnienia *czarne jak kruki*. Oto samotność! nie mam nikogo, ktoby dzielił ze mną moje *tak* i moje *nie*“.

Zanim jednak los jego spełnił się, doczekał się Nietzsche jeszcze pierwszych błysków uznania. W roku 1888 ogłosił znany Brandes w uniwersytecie w Kopenhadze wykłady o nim, liczba słuchaczy była ogromna, dzienniki zajęły się i wówczas zaczął doznawać pierwszych wrażeń zbliżającej się sławy. Ale już w styczniu 1889 r. popadł w chorobę umysłową nieuleczalną. W Turynie dostał napadu apoplektycznego, przewieziono go do zakładu obłąkanych w Bazylei, potem do instytutu w Binswangen w pobliżu Jeny. W marcu 1890 zabrała go matka do Naumburga, a po jej śmierci siostra do Wajmaru, gdzie umarł w r. 1900. Pochowano go w Röcken na wiejskim cmentarzu obok rodziców bez żadnych ceremonij religijnych, pożegnał go tylko nad grobem w imieniu młodzieży jakiś obcy nikomu nieznany student niemiecki. Oto krótki rys życia tego myśliciela i pisarza miary niezwykłej.

A teraz zwróćmy się do jego filozofii.

Na wstępie należy przedewszystkiem stwierdzić, iż charakterystyka jego poglądu na świat nastręcza wielkie trudności. Nietzsche bowiem nie był nigdy systematykiem, poglądów swoich nie rozwijał w formie rozpraw lub naukowych wywodów, opracowanych metodycznie, jak to czynili i zwykle czynią inni filozofowie. Był to umysł nie tylko filozoficzny, ale przedewszystkiem poetyczny, dla którego jedyną w życiu namiętnością było pragnienie prawdy; przeważał u niego zawsze nastrój dytyrambiczny, opanowywał go jakby jakiś szał dionizyjski i wówczas wyrzucał z siebie owe wspaniałym stylem pisane aforyzmy. Do spokoju Nietzsche nie doszedł nigdy, jego pogląd na świat zmieniał się ciągle: zaledwo ujął jakąś myśl lub zasadę w formę stałą, zaraz szedł dalej, przekształcał ją, rozwijał i urabiał na nowo. Jego filozofia to nie jakaś teorya spokojnie opracowana, to raczej cząstka jego istoty, coś, co on czuł, czego doznawał. Szukając pra-

wdy cierpiał lub radował się, dźwigał się w tryumfie ku górze, lub zrozpaczony upadał. Mógł on mówić razem z Mickiewiczem: „Myśli moje! gwiazdy moje! Czucia moje! Wichry moje!“ Jest to bardzo możliwe, że takie Nietzschego usposobienie miało jakiś związek z jego pochodzeniem słowiańskiem. W każdym razie jest on w dziejach myśli niemieckiej zjawiskiem całkiem niezwykłem i odosobnionem. Wprawdzie filozofem z nastrojem był już Schopenhauer, ale ten nastrój był u niego sztuczny; kto zna życie Schopenhauera, wie dobrze, iż pisał inaczej, a innym był w życiu: przeciwnie Nietzsche, ten wlał w pisma swoje całą gorącą duszę swoją. Jego życie to tragedya, będąca wynikiem współczesnego przesilenia umysłowego, tragedya rozdzierająca, potężna, rozegrała się zaś w jednej duszy pod wpływem tych wszystkich czynników, które umysłowość europejską przy końcu XIX. stul. opanowały. Jego los to wielkie „*Memento*“ dla każdego, kto je usłyszeć i zrozumieć zechce.

Gdy wiele umysłów powierzchownych z ostatnich dziesiątków lat wieku zeszłego przyjmowało lekkomyślnie dokonywujący się w poglądach na świat przewrot, gdy nawet umysły głębsze dochodziły do zerwania z dawnemi zapatrywaniami i wierzeniami z pewnym względnym spokojem; stawali się pesymistami, skeptykami, pozytywistami, agnostykami, ale tylko w teoryi, nie tracąc wcale ani gustu do życia, ani nawet dobrego apetytu, to przeciwnie Nietzsche przypłacił te wszystkie przewroty własną swoją osobistością. Duch jego chłonął w siebie nową treść, ale promieniała z niego skutkiem tego wikłania się taka jakaś straszna demoniczna potęga, że nie wytrzymało tego najbliższe ducha otoczenie tj. własny mózg i pękła duszy pracownia poszarpana w kawały przez te wszystkie pierwiastki wybuchowe, które tam nagromadziły się pod wpływem dążności z końca zeszłego stulecia. Należy wreszcie i na to także zwrócić uwagę, że Nietzsche był z zawodu filologiem-literatem, a przytem bardzo muzykalnie usposobionym, nie miał zaś wcale wykształcenia matematyczno-przyrodniczego, brakło mu więc jako filozofowi jedynego skutecznego na wybujałość myśli lekarstwa. Jak Herbertowi Spencerowi brakowało wyrobienia humanistycznego, tak Nietzschemu brakowało znowu tej szkoły, którą daje zamiłowanie do studyów matematyczno-przyrodniczych. Na obu tych myślicielach mamy oczywisty dowód, że na szczytne wyżyny syntez najwszechstronniejszych, zdołają wznieść się w naszych czasach tylko takie potęgi umysłowe, które równomiernie opanują i w sobie przetrawią zarówno

pierwiastki z dziedziny duchowej jak i przyrodniczej. Uwzględniając wszystkie trudności powyższe, spróbuję naszkicować krótko nie filozofię ale rozwój poglądów na świat, w umyśle Nietzschego.

Wychowany w protestantyzmie nie mógł on oczywiście znaleźć zadowolenia dla uczuć religijnych na tym suchym i jałowym gruncie, ale jednak odziedziczył po przodkach zapał do propagandy religijnej. Zerwawszy z chrześciaństwem, stał się zwolennikiem Schopenhauera, poszedł więc na tory pesymizmu, poczem pod wpływem Wagnera zaczął przechylać się do mistycyzmu. Ale łatwo to było bawić się pesymizmem takiemu Schopenhauerowi, łatwo być nim również takiemu Hartmannowi flegmatycznemu, ciężkiemu, a w pisaniu nad wyraz rozwlekłemu, który przy całym swoim pesymizmie nie uronił nic z brutalnej natury Prusaka. Nietzsche nie mógł zadowolić się pesymizmem, on szukał wyzwolenia i wydało się mu, że je znalazł w twórczości mistycznej Wagnera. Ale stając się zwolennikiem jego, przeliczył się z siłami umysłu własnego, to znaczy: — oceniał je zbyt nizko. Były one za wielkie, za śmiałe, zanadto rwące się do jasnego słońca prawdy, aby mógł był wystarczyć im mętny mistycyzm Wagnerowski. Wagner to oczywisty dowód i przykład rozpaczliwego stanowiska protestantyzmu. Zawieszony w powietrzu bez steru żadnego, bez podstawy, szuka Wagner oparcia w jakiejś mistyce najpierwej pragermańskiej, potem prachrześciańskiej. Muzyka jego niewątpliwie wielka, wspaniała, ale już rozsadzająca ramy twórczości muzykalnej, a przytem tak złożona, że żadna dusza prosta a namiętna w niej się nie rozkocha. Czyj umysł rwie się do światła i do prawdy, ten u Wagnera zadowolenia nie znajdzie. Oto powody, dla których zerwał Nietzsche z Wagnerem, zerwał zaś w czasie, gdy na niego nowe zaczęły działać wpływy. Jakie one były i na czem polegały, okazuje się z dzieła, które powstało w chwili zrywania z Wagnerem, *„Menschliches Allzumenschliches“*. Poświęcił je pamięci Voltaira, w setną rocznicę jego śmierci. Czyż ta dedykacya nie jest znamienną? Cóż się to stało? Oto śmiały duch Nietzschego szybując ku szczytom prawdy, skruszył pęta dogmatyzmu protestanckiego, przebił chmury mistycyzmu i dostał się na chłodne wyżyny skeptycyzmu, tu zaś wydało się mu, iż znalazł się już w krainie prawdy ostatecznej i powiedział sobie: „teraz zmierzam do prawdy samoistnie, teraz dopiero odważyłem się być filozofem na prawdę“. Jako prawda najwyższa przedstawił się jemu obecnie pogląd, że prawdy nie ma żadnej. W miejsce jakiejś niby prawdy, można doskonale

postawić fałsz, jeżeli on tylko na coś przydać się może. Zrzekać się fałszu, to znaczy zrzekać się życia.

A więc cóż jest prawdą? Oto prawdą jest, że zamiast dążyć i szukać jakiejś niby prawdy, mamy pragnąć zaspokojenia i silnego rozwinięcia instynktów życia. Życie najpełniej rozwinięte, życie najpotężniejsze, które przygniata wszystkie inne życia, które buja i rozrasta się i siłę swoją całemu otoczeniu uczuwać daje, oto prawda!

Zawiera ją biologia, głosząca zasadę walki o byt, tudzież oparta na niej teorya o wykształcaniu się coraz silniejszych instynktów życiu właściwych. Człowiek powinien być silny, powinien cieszyć się tym światem, do którego w całości i jedynie należy; nie jest jego rzeczą uwielbiać dobra lub jakieś cnoty, które sam sobie pozmyślał, lecz rzeczą jego jest poza wszelkiemi utartemi pojęciami o złem i dobrem, uważać za dobre to, czego chce wola pragnąca siły, mocy, panowania, gdyż takie tylko są cele życia: kto jest cały przepełniony pragnieniem panowania, kto nie pożąda ani używania, ni szczęścia, lecz siły, kto sam sobie prawa nadaje, kto sam siebie stwarza i sam sobą rządzi, kto jest wolny i silny, taki może być nawet miłosiernym, ale nie ze słabości, taki oto jest dostojny, zacny i możny, taki jest n a d c z ł o w i e k i e m. Dla nadczłowieka istnieje więc moralność całkiem odmienna, aniżeli dla reszty ludzi, on ma prawo wyznawać moralność pańską *(Herrnmoral)* w przeciwieństwie do moralności niewolników *(Sklavenmoral)*, która jest moralnością pokory, zaparcia się siebie, miłości bliźniego. Co jest dobrem? Wszystko, co stopniuje uczucie siły! — Co jest złem? Wszystko, co pochodzi ze słabości! — Co jest szczęściem? Uczucie, że siła wzrasta! Szczęście daje nie spokój, lecz walka, nie cnota, lecz tęgość, nie miłość ludzi, lecz miłość siebie samego. Ludzie nie są i nie powinni być równi. — Radykalizm artystokratyczny, oto stanowisko Nietzschego. Bezprawie nie tkwi nigdy, według niego, w nierówności praw, lecz w roszczeniu sobie prawa do równości. Złem jest co? Wszystko, co się rodzi ze słabości, z zawiści i z zemsty. Anarchista i chrześcianin jednego są pochodzenia. Oto jak się dokonywa u Nietzschego odwrócenie i przemianowanie wszystkich wartości *(Umwertung aller Werte)*. W pojęciu nadczłowieka można łatwo dostrzedz pewne niejasności i niedokładności.

Nadczłowiek mieni się w świetle dwojakiem. Raz jest to ów pan dostojny i możny, ów duch wielki samoistny, pojedynczy, górujący nad szarym tłumem, jakby *Król-Duch* Słowackiego;

drugi raz znowu przedstawia nam Nietzsche nadczłowieka, jako jakiś gatunek ludzki doskonalszy, do którego wytworzenia zmierza cały rozwój społeczny. „Człowiek jest ogniwem między zwierzęciem a nadczłowiekiem“ — woła Nietzsche w Zaratustrze. W jakimże to jednak celu mamy zmierzać do nadczłowieczeństwa? Wszak ze śmiercią wszystko się kończy? O wcale nie! I tu naraz zjawia się nam Nietzschego myśl w postaci nowej. Od pozytywizmu skeptycznego, od biologii i od uwielbienia siły, walki i życia przechodzi do wytworzenia nowej religii. Trudno bowiem nazwać inaczej jego wiarę w wieczyste, ciągłe, ponowne powtarzanie się wszystkiego *(Ewige Wiederkunft aller Dinge)*.

Taki jest dogmat nowej religii. Mamy więc dążyć do nadczłowieczeństwa dlatego, że tak, jak teraz żyjemy, będziemy żyli jeszcze nie wiem ile razy! Wszystko ciągle wraca i powtarza się na nowo.

„O jakżeż nie mam pałać do wieczności, do owego pierścienia ślubnego, będącego pierścieniem pierścieni wszystkich do owego kręgu wiecznie w siebie wracającego. Nigdy jeszcze nie spotkałem niewiasty, z którą byłbym pragnął mieć potomstwo, dopiero tę pierwszą, którą kocham, gdyż kocham Cię o wieczności“.

Główna myśl metafizyki Nietzschego w fazie ostatniej polega, zdaje się, na uznaniu, że jedynie rzeczywistemi są jakieś ilości dynamiczne, znajdujące się w stanie napięcia w stosunku do innych ilości dynamicznych. Wszędzie wszystko polega na stopniu oporu i na stopniu przemocy. Wszechświat to walka pierwiastków nierównych, każde ciało zmierza do opanowania całej przestrzeni i natrafia na opór. Wszystko sprowadza się do woli jednostkowych i punktacyjnych. Jest więc Nietzsche w metafizyce pluralistą, tak samo, jak w etyce jest indywidualistą. Niekiedy jednak mienią się jego poglądy także w świetle monizmu. „Pragnienie siły“ — pisze — „nie mogło powstać. Należy wyobrażać sobie świat jako jakąś określoną ilość siły i jako określoną liczbę ośrodków sił, każdy inny pogląd nie zda się na nic. Ten świat to potwór siły, która się tylko przekształca, to ocean jakichś mocy ciągle burzących się i wzbierających, oto ten mój świat dyonizyjski — on już był nie wiem ile razy i będzie jeszcze nie wiem ile razy.“ Zasada utrzymywania się

energii wymaga — jego zdaniem — wieczystego powtarzania się wszystkiego. Cała więc filozofia Nietzschego zbiega się ostatecznie w myśli, którą on tak wyraża: „W świecie co jest najbardziej pocieszającego, oto że nie ma on ani żadnego celu, ani sensu“.

Zaiste myśl ta musiała być dlań nie lada otuchą, skoro w walce tragicznej ze samym sobą i z własnym na świat poglądem doszedł do tego, że aż dostał pomieszania zmysłów. „Zagadnienia czarne jak kruki“ zagryzły go i zadziobały. Gdyby był żył dłużej, kto wie coby się było jeszcze z niego zrobiło. Wielu znawców rozwoju umysłowego Nietzschego przypuszcza, że w końcu byłby się rzucił w objęcia jakiejś religii pozytywnej. I to możliwe, wszak rozwój jego duchowy nie był skończony. Nietzsche ciągle sam siebie przezwyciężał i obalał. Jego dusza to zwierciadło życia umysłowego dzisiejszego, pełnego niepokoju zmieniającego się ciągle z dnia na dzień, prawie z godziny na godzinę; morze ludzkich myśli i pragnień burzy się, wre i kotłuje się tak jak wrzało w duszy Nietzschego. Oto tajemnica szalonego powodzenia jego pism w latach ostatnich. Filozofia jego działa nastrojem, styl wspaniały dytyrambiczny, wszystkich porywa. Są tacy, co twierdzą i dowodzą, że od czasów Goethego nie było w Niemczech pisarza, któryby mógł co do piękności języka mierzyć się z Nietzschem. Liczba jego wielbicieli ciągle wzrasta i to nie tylko w Niemczech. Tam zaś rośnie pomimo, że on sam charakterem niemieckim gardził, wielbił natomiast słowiańsko-polski indywidualizm nawet razem z polskiem „*Liberum veto*“. W etyce są poprzednikami jego Spinoza i Hobbes, w najnowszych zaś czasach możnaby wskazać na Augusta Comte'a, Karola Darwina i Herberta Spencera, jako jemu najbliższych. Motywów do tragedyi, noszącej nazwę: Fryderyk Nietzsche, należy szukać w gruncie rzeczy u tamtych trzech, on z ich poglądów i stanowisk wyciągnął wnioski ostateczne, bez oglądania się na cokolwiek, on wszystkie te wnioski sam wywalczył, odczuł, doznał i własny mózg rozsadził. Jest jednak w nim o wiele więcej, aniżeli w tamtych trzech. Nietzsche doszedł do możliwie ostatecznych granic krytycyzmu, niczem nie daje się on złudzić, każdemu zagadnieniu przygląda się ze wszystkich stron, a jest wobec siebie samego tak sumienny, że go nic olśnić nie jest wstanie. Najokazalszą teoryę naukową on nieraz tak prześwietli i w jednym rzucie myśli tak ją przedstawi, iż okaże się środeczkiem marnym i płaszczykiem zakrywającym tylko niemoc ludz-

kiego umysłu. Jakżeż świetne n. p, takie jego powiedzenie: „Kto Boga się wyrzekł, tem usilniej wmawia w siebie wiarę w moralność“. Albo: „Mechanistyczne pojęcie ruchu jest tylko przetłumaczeniem jakiegoś przebiegu pierwotnego na mowę oka i dotyku“. Niektórzy krytycy poglądów Nietzschego usiłowali wywieść je i wprowadzić w związek ze stanowiskiem zajętem przez Maksa Stirnera w tegoż dziele, wydanem jeszcze w roku 1845 pt.: *„Der Einzige und sein Eigentum“*. Nie wydaje się to mnie słusznem, należy bowiem zważyć, że Nietzsche dzieła Stirnera wcale nie znał. Zresztą Stirner był zupełnym anarchistą, natomiast Nietzsche arystokratycznym radykałem. Hasłem Stirnera było zdanie: *„Ich habe meine Sach' auf nichts gestellt.“* Natomiast Nietzsche hasło swoje zawarł w słowach: *„Ich liebe dich o Ewigkeit“*.

W ostatnich latach, szczególnie od czasu wystąpienia Przybyszewskiego, zaczął Nietzsche także na umysły polskie dosyć żywo oddziaływać. W zeszłym roku przyszło nawet do skutku wydawnictwo obejmujące dzieła jego w polskiem tłumaczeniu. Jak dotąd nie zdaje sobie jeszcze jasno sprawy, co właściwe w Nietzschem tak silnie umysły polskie pociąga. czy jego styl wspaniały, czy wyobraźnia nad wyraz śmiała, i myślenie w krytyce nieubłagane, czy jego indywidualizm wybujały. a do polskiego charakteru taki zbliżony, czy też może ta jego szczególna dla Polski i Polaków sympatya, która przy każdej ujawniała się sposobności. W ruchu ściśle naukowym i filozoficznym wpływ Nietzschego u nas nie wydał jeszcze zbyt pokaźnych owoców, natomiast oddziałał dosyć żywo na literaturę tak zwaną nadobną, tj. na poezyę liryczną, na powieść z lat ostatnich, wreszcie na twórczość w zakresie dramatu. Czy wpływ ten jest pożądany, o tem trudno dzisiaj wyrokować. Umysłami naszego obecnie dorastającego pokolenia wstrząsa tyle sprzeczności, w duszach robi się taki zamęt okropny. iż na uspokojenie i złagodzenie przeciwieństw, Nietzsche chyba nie jest lekarstwem odpowiedniem. Wpływu jego na poważną pracę naukową i filozoficzną, jabym się nie obawiał, mógłby on nawet niejednego wyleczyć z różnych naukowych przesądów, mógłby rozbudzić krytycyzm wszechstronny, a w myśleniu filozoficznem podniecić do sumienności przedewszystkiem wobec siebie samego. Ale do tego wszystkiego potrzeba posiadać bardzo gruntowne naukowe przygotowanie i wyrobienie. Natomiast na umysły powierzchowne a gorące, na umysły rwące się coraz wyżej w górę, ale pozbawione ducha prawdziwie krytycznego i gruntowności naukowej. musi on działać

zabójczo, jak zresztą już na tylu zabójczo podziałał. Nietzsche w śmiałym locie swoich myśli przepatrzył do głębi nicość tkwiącą w różnych teoryach naukowych i pomysłach filozoficznych. Jednej tylko idei nie zrozumiał wcale, tj. idei Boga. Jakaś chmura dziwnego rodzaju przesłaniała mu to światło, gdyby był umiał tę chmurę przedrzeć, wówczas byłaby mu się dopiero uwydatniła w świetle należytem wartość jego własnej twórczości, która tylu naukowym i społecznym przesądom ostatecznie korzenie podcięła. Nawet idea nadczłowieczeństwa byłaby w oświetleniu idei Boga dopiero właściwą zyskała podstawę. Trudno teraz po tak tragicznej śmierci Nietzschego rozważać i zapytywać, na czem byłby on był skończył, że jednak myśl jego szybowała już w kierunku ideałów religijnych, dowodzi tego najlepiej jego kult wieczności.

Tłumaczenie polskie, o ile można wnioskować z wyszłych do tego czasu tomów, jest staranne a odznacza się nawet w wielu miejscach pięknością mowy polskiej niezwykłą. Oddanie jednak przez tłumacza Wacława Berenta tytułu: „*Also sprach Zarathustra*“ słowami: „*Tako rzecze Zaratustra*“, nie wydaje się mi szczęśliwe, jak mniemam, o wiele lepiej brzmiałby napis: „*Rzekł tedy Zaratustra*“. Albo całkiem po prostu: „*Tak mówił Zaratustra*“. Do ustępów wprost wspaniale przetłumaczonych należy między innemi rozdział: „*Przed wschodem słońca*“ (str. 228), rozpoczynający się jak następuje: O niebo ponademną przeczyste! Głębokie! Świetlana ty przepaści! Ku tobie spozierającego dreszcz boskich przejmuje mnie pożądań. — W twą wyż siebie rzucić — oto moja głębia! W twą czystość siebie ukryć — oto moja niewinność! — Boga własne przysłania piękno: tako i ty gwiazdy swe ukrywasz. Ty się mową nie głosisz: i tak oto zwiastujesz mi swą mądrość!“ etc...

Otwarcie wyznaję, iż wogóle myśli Nietzschego lepiej i barwniej wyglądają w szacie słów polskich, aniżeli niemieckich. Niedarmo on sam żałował nieraz, iż musi pisać po niemiecku, a swojemu polskiemu pochodzeniu przypisywał, „że o sztuce języka wie o wiele więcej, aniżeli prawdziwy Niemiec wiedzieć jest wstanie“.

Dr. M. Straszewski.

ANDRZEJ RADWAN ZEBRZYDOWSKI
BISKUP KRAKOWSKI
(† 1560).

MONOGRAFIA HISTORYCZNA.

CZĘŚĆ V.

(Ciąg dalszy)

III.

Zapowiedziany do Piotrkowa na dzień 20. listopada 1558 r. sejm walny koronny rozpoczął się dopiero dnia 5. grudnia t. r.[1]) Przyczyną zwłoki był brak kompletu w senacie i izbie poselskiej, tudzież niedyspozycya króla, zasłabłego, gdy przybył do Piotrkowa, na febrę. Obrany dnia tego marszałkiem izby znany nam poseł ziemi ruskiej, Mikołaj Siennicki, powitał króla w imieniu posłów mową, w której wyraził mu podziękowanie od rycerstwa Korony

[1]) Dzienniki sejmów walnych koronnych 1555 i 1558 r., wyd. Lubomirskiego. Dyaryusz tego sejmu wypełnia strony: 139—300. Autorem jego tak samo jak dyaryusza sejmu 1555 r. jest poseł ziemi krakowskiej, Hieronim Ossoliński. W cytowanych ustępach, zdaniach lub wyrażeniach, wyjętych z tekstu dyaryusza, tylko tam zachowujemy pisownię staroświecką, gdzie ona zbyt nie razi.

polskiej za to wszystko, co w ostatnich czasach dla niej zdziałał lub teraz zdziałać zamierzał. Gdy po sejmie warszawskim odjeżdżał z Polski „do dalszych państw swoich“, wszyscy Polacy gorąco Boga błagali, aby mu się powiodła zamierzona wówczas wyprawa inflancka. Gdy z wyprawy tej wrócił, cieszyli się nie tylko tem, że wrócił z niej „w dobrem zdrowiu“, ale także tem, że raczył potem „osobą swą pańską“ udać się „w kraje koronne ziem ruskich“, by zasłonić je przed nieprzyjaciółmi sąsiednimi, którzy w nich wiele w tym roku „krwi chrześciańskiej“ przelali. Obecnie zaś wdzięczni mu są za to, że zwołał sejm. „I zasię — mówił Siennicki — zwołanie to senatorów koronnych rad swych uczynić-eś raczył, a rycerstwu swemu posły swe tu przysłać rozkazał, wszem jawnie ogłosując, iż jako krześciański król powinowactwu swemu pańskiemu dosyć czynić chcesz, które na tem najwięcej należy, abyś woley miłego Pana Boga naprzód pilnując, słowu jego świętemu między poddanymi swymi drogę przeprawował i sprawiedliwości ludzkiej wedle zwierzenia swego od ludzi a powinowactwa od Pana Boga włożonego dojrzał, pilnował i one mnożył wedle prawa od ludzi sobie zwolonego; w którym jeśli się co omieszkało albo z niego wykroczyło ku szkodzie pospolitej, iż to nagrodzić, w swą porę zasię wstawić chcesz, miłościwie-ś obiecać raczył, a to rycerstwu swemu po wszech sejmiech powiatowych obwołać rozkazał — zacz my imieniem ich wszech W. K. Mci dziękujemy z tak miłościwej obietnice, a jako posłańcy ich z tym W. K. M. witamy pana swego, iż gdy da miły Pan Bóg to przedsięwziąć statecznie, i kończyć będziesz raczył...“ Podziękowawszy królowi za owe jego dobre chęci wyrównania różnic religijnych i przeprowadzenia egzekucyi praw koronnych, prosił go w dalszym ciągu swej mowy, aby w nich wytrwać raczył, aby wypełnił „obietnicę swą pańską“ — „którą nieraz hojnie powtórzył“, — „prawa o wolności uiścił, cokolwiek się z nich wystąpiło, naprawił, na dalszy już czas tego nie odkładając...“ Powinien tak uczynić, choćby ze względu na niebezpieczeństwa, jakie grożą zewsząd jego państwom... Wszak „jedne nieprzyjaciel okrutny opanował, drugie z wolnych państw niewolnymi poczynione są“. „A co więcej — mówił Siennicki — doznawać to W. K. M. raczysz, jako w państwach W. K. M. rozdwojone są umysły ludzkie roztargnieniem sumnienia z różnego rozumienia woley miłego Pana Boga, gdyż żaden stan powinowactwa swego nie wie, ani pilnuje, zaczem wedle wyroku miłego Pana Boga żadne królestwo stać nie może, padać się a pustoszyć musi...“ Wskutek

„szkaradnego wszech rzeczy pomieszania“ w Koronie polskiej nie mają też „poczciwi ludzie“, to jest szlachta, spokoju od tych stanów — „którzy się na nie mimo prawa a wolności ich utargiwują prawem cudzym, któremu naród polski nie przywykł, ani należy“, to jest od biskupów, którzy wykonują na niej swą jurysdykcyę według prawa kanonicznego: „z czego jakowe różne chuci a rozdwojenia myśli ludzkich powstają, i W. K. M. i każdy iny obaczyć łatwie może, a temu wszystkiemu nikt iny, jeno sam W. K. M. za pomocą miłego Pana Boga zabieżeć teraz możesz...“ ile że „senat koronny radami swymi do tego wiedzie, my o to prosiemy i wszytką chuć a staranie swe... na to W. K. Mci zupełną wiarę ofiarujemy...“ [1])

Kostki zostały rzucone. Cała ta mowa powitalna i dziękczynna marszałka izby poselskiej była właściwie wezwaniem do walki, wystosowanem pod adresem biskupów. Przedmiotem walki miała być znowu, jak w latach poprzednich, religia i jurysdykcya kościelna, hasłem jej znowu egzekucya praw koronnych a więc i praw Kościoła i stanu duchownego, bez których rewizyi i reformy, egzekucya jako taka była wprost niewykonalną. Wezwanie było rzucone w porę. Zdawało się posłom, że biskupi nie wytrzymają ataku. Było ich tylko czterech. Zebrzydowski, Uchański, Noskowski i Przerębski. Z tych czterech najgroźniejszym był dla nich nasz biskup krakowski, jako zdawna im znany obrońca prerogatyw kościelnych, chociaż i on, zdaniem ich, nie był twierdzą nie do zdobycia, nie będąc przeciwny zasadniczym postulatom protestantyzmu, jak komunii pod obiema postaciami, polskiemu językowi liturgicznemu lub soborowi narodowemu. Uchańskiego i Przerębskiego, jako poróżnionych z Rzymem, a zwłaszcza Uchańskiego, zaliczali do swoich przyjaciół politycznych, niedołężny Noskowski nie przerażał ich wcale. Ale losy podjętej walki spoczywały bądźcobądź w ręku monarchy, ztąd te objawy wdzięczności, pokory i zaufania do osoby króla, którymi chciał podbić jego serce Siennicki i wciągnąć go do jawnego sojuszu z izbą.

Król i biskupi odrazu odgadli zamiary posłów. Należało przyjąć ich chęci i ofiary w dobrej wierze, podziękować za objawy lojalności i przywiązania do tronu, uczynić w pewnej mierze zadość ich życzeniom, by nie dopuścić do wybuchu walki, która mogła tak dla króla, pożądającego głównie nowego podatku na wojnę lub obronę kresów wschodnich, jak dla biskupów, nie czu-

---

[1]) Dz. s. 139—141, w streszczeniu.

jących się na siłach do walki i pragnących spokoju, wypaść bardzo ujemnie. Dla tego król przez usta podkanclerzego Przerębskiego, zasiadającego w senacie także jako nominat biskup chełmski, podziękował posłom za słowa wiernopoddańcze, lecz w propozycyi, którą potem podkanclerzy z polecenia jego odczytał, różnice religijne i stanowe radził poświęcić interesom państwowym, a więc obronie i egzekucyi. Wszak o tej obronie i egzekucyi nadmieniał już w swej propozycyi na sejmiki powiatowe, jako o głównych „potrzebach koronnych", będących powodem zwołania obecnego sejmu. Potrzebę egzekucyi król dobrze rozumie, już przeciez w 1550 r. obiecał formalnym „listem" ją „uczynić" i wszystko „naprawić". Dobrym chęciom jego stawały na przeszkodzie rozmaite „trudności tak koronne jako księstwa Litewskiego". Obietnicę swoją ponawiał na sejmach przeszłych, tak piotrkowskim jako i warszawskim. Potem skoro tylko „potrzeby księstwa Litewskiego z Inflanty postanowił", myślał o tem, kiedyby mógł „dla spraw tych koronnych" do Polski zjechać i sejm złożyć", ale znowu „nowina zaszła o Tatarzech, którzy państwa J. K. Mci wojowali", — „miasto sejmu musiał się J. K. M. do Rusi udać, aby się nieprzyjaciel hamował... chcąc osobą swą się nieprzyjacielowi zaprzeć, mając też tę nadzieję o w. m. rycerstwie swym a wiernych poddanych, żeby w tym osoby J. K. Mci byli nie opuścili". I rzeczywiście, jak donosił wojewoda ruski Mik. Sieniawski, hetman polny, przeraził się wieścią o obecności jego na Rusi nieprzyjaciel. Będąc tam, nie omieszkał król także „sądy swe sprawować" — „urzędowi swemu królewskiemu" czynił zadość, dopóki go „podejrzane powietrze" nie zmusiło do odjazdu. Zaraz też podjął na nowo myśl złożenia sejmu „wedle recesu piotrkowskiego i warszawskiego". Rad był na sejm ten powołać Litwę, ale że trudno było o wybór miejsca na wspólny zjazd z Litwinami, przeto za radą senatorów koronnych zwołał niniejszy sejm „na miejsce zwyczajne", specyalnie dla spraw koronnych. Jak wiedzą posłowie z sejmów powiatowych, wezwał król wszystkich „tak panów, szlachtę, miasta", jako też „obywateli ziem pruskich", aby przybyli na sejm „z listy swemi", rozkazał więc — „aby przywileje koronne, gdziekolwiek są, zniesione tu były..." rozumiejąc dobrze potrzebę — „aby przywileje i prawa koronne były przejrzane, jeśli się co w nich wykroczyło, aby naprawiono było". Ale nie tylko egzekucyę praw trzeba już raz przeprowadzić, król ufa, że posłowie będą radzić także nad tem — „jakoby się opatrzyło bezpieczeństwo granic koronnych od nie-

przyjaciół postronnych". Tureckie wojska z Węgier wpadają „do Spiskich państw koronnych": wołoski wojewoda tylko „czycha" na to, kiedyby mógł pomścić „krzywd w sąsiedztwie" na krajach koronnych; moskiewski książę „Inflantom miasta, zamki bierze i posiada" i do tego dąży, aby jeszcze zagarnąć mógł porty tamtejsze, których utrata byłaby niepowetowaną tak dla księstwa Litewskiego jak dla ziem Pruskich i państw koronnych: również „Tatarowie" zasmakowawszy w tegorocznej wyprawie „na państwa podolskie", z których „z wielką korzyścią bez pomsty" odeszli, gotują się do nowych wojen i łupów, ile że wiedzą — „iż ludzi służebnych żadnych nie masz", bo nie tylko nie ma pieniędzy Rzpta na dalsze zaciągi ale nie ma „czem zapłacić" tych, którzy „już odsłużyli". Zakończył tedy Przerębski: „Nierząd też domowy, który powstaje z roztargnienia różnych nauk i obyczajów, jako sami w. m. powiadacie, ten sam dosyć jest do zginienia; a tak uważywszy potrzeby koronne, a na stronę odłożywszy te różnice, szukać J. K. M. drogi raczy, aby w rządzie i w pokoju wszystko było zachowano..." Dla tego celu król nie będzie żałował „nie tylko pracy swej, ale też zdrowia i krwie swojej", to też spodziewa się, że i posłowie to „czynić i sprawować będą" — „czego wiara nasza ku dobremu Rzptej potrzebuje i oczekiwa", a gdyby „co inego przedsiębrać chcieli", wówczas spadnie „wina" za skutki takiego przedsięwzięcia na kogo innego a nie na króla — „który jest do wszytkiego gotów..." [1])

Słowa powyższe były wyraźną aluzyą do wojowniczego usposobienia posłów i łagodną przestrogą, aby niewczesnej walki z biskupami nie wszczynali. Na nich też zakończyły się obrady sejmowe dnia pierwszego, bo król ponownie zaniemógł na febrę i wota panów, które miały być zwykłym porządkiem sejmowym podane izbie po propozycyi tronowej, zostały odłożone do dnia jutrzejszego. Ale nazajutrz król nie wróciwszy jeszcze po nocy spędzonej w febrze do sił, prosił panów, by wotowali bez niego. Wypadek ten wpłynął ujemnie na tok obrad sejmowych, choroba królewska paraliżowała i tamowała czynności senatu i izby, chociaż zarazem była pomyślnem zdarzeniem dla biskupów, odwracając od nich uwagę sejmu i osłabiając wrażenie pierwszego ataku, zrobionego na nich przez posłów. Wprawdzie panowie „gotowi byli wota swe odprawić", ale posłowie uważając to za *„res mali exempli"*, lękając się — „sejm zaczynać bez osoby królewskiej.

[1]) Dz. s. 141—144 w streszczeniu.

zwłaszcza takowy, na którym się egzekucya, która napirwei na osobie królewskiej należy, zacząć miała“ — nie chcieli z panami samymi wdawać się w żadne dysputy. Wskutek tego panowie znowu odłożyli swe wota do dnia jutrzejszego. Tymczasem król wcale nie zapowiadał rychłego wyzdrowienia. Rozpoczęły się więc spory między senatem i izbą o sposób prowadzenia rozpraw sejmowych. Stanęło wreszcie rzekomo na tem, że panowie mieli je „referować“ królowi a król zgodne uchwały izby i senatu bezwzględnie miał „aprobować“, a to dlatego, jak mówili posłowie — „aby ta praca wotowania ich m. i słuchania naszego daremna nie była, gdyby król J. M. chciał deliberować jeszcze na to, na coby się rady koronne z posły ziemskimi zgodzili.“ [1])

Nie dając na te uwagi posłów wyraźnej odpowiedzi, zaczęli panowie jeszcze tego samego dnia, to jest we środę 7. grudnia, składać w izbie swe wota. Pierwszym, który miał je złożyć, był najdostojniejszy z senatorów duchownych, obecnych na sejmie — nasz Zebrzydowski Ale przed wotum jego odczytał jeszcze podkanclerzy Przerębski list prymasa Dzierżgowskiego, złożonego śmiertelną chorobą, którego ten sens był: „Egzekucyi, aby już król J. M. dokonał. Obrona, wojna pospolita a na żołnierze pobór. Nowości i zjazdy, na których nowatorzy religijni nawet biskupów nowych ustanawiają, aby były zakazane. Do odbycia sądów aby byli wybrani z senatu i stanu rycerskiego pewni sędziowie, którzyby nową przysięgą umocowani, zaległe od tylu lat sprawy odsądzili.“ [2])

Po odczytaniu listu prymasa wygłosił swe wotum Zebrzydowski. W wotum tem przeszedł niemal samego siebie. Widać w niem tę samą dążność uśmierzenia umysłów posłów, gotujących się do boju, jaką nacechowana była propozycya tronowa. Mówił więc tak, że mógł się podobać posłom i skłonić ich do powolności dla króla. Odczuwał, podobnie jak posłowie, brak osoby króla w senacie jako jego „głowy a fundamentu“. Uznawał w całej pełni potrzebę gruntownej egzekucyi praw. Twierdził, że — „ludzie utyskują sprawiedliwie“, podnosił, że — „wielkie nierządy i przesprawia dzieją się ze wszech urzędów koronnych, miasto wolności licencia wielka a prawa koronne w kancelaryi tylko leżą“; że — „dobra koronne szarpają, rozdawają i na tych dani-

[1]) Dz. s. 144—147.

[2]) Dz. s. 147. Ostatnie dwa zdania podano w tłumaczeniu łacińskiem.

nach piszą: *praesentibus consiliariis*, ni mianują nas (senatorów), którzy przy tym nie bywamy, ani wiemy, co się tam dzieje". Konkludował więc: „Przeto trzeba, aby egzekucya prawom wszytkim pospolitym była, która się począć ma od osoby J. K. Mci, jeśli raczy, a potym też od rad i od rycerstwa, i od innych stanów" — zatem chyba jeszcze od duchowieństwa — „aby się licencia hamowała". Licencyę tę czyli swywolę widział jednak szczególniej w krzywdach, jakich doznają katolicy ze strony innowierców, zakończył bowiem swoją rzecz, która miała być „długa, mowna a napominania częstego i dotykania" czyli poparta jawnymi dowodami, że — „już nie tylko żywym ale i umarłym wydzierają", że — „kościoły pustoszą, nadania ich biorą, czego sami nie dali, to wydzierają", mając na myśli głównie wypadki zaszłe po sejmie warszawskim w swojej dyecezyi krakowskiej a zwłaszcza w Książu z okazyi pogrzebu wojewodziny Tęczyńskiej, wywołane przez Jana Bonara, który drwił sobie bezkarnie z jego władzy biskupiej. [1] Przemawiający po nim Jakob Uchański, który chociaż nie potwierdzony przez papieża, zasiadał w senacie krzesło biskupa kujawskiego, również głosował za egzekucyą. Twierdził, że jeśli ona będzie dokonana, znajdzie się wówczas „i sprawiedliwość i obrona". Nie kwestyonując potrzeby jej dokonania, podawał sposób, jakoby ją zacząć można, a mianowicie „przywileje koronne znieść zewsząd a statuty wziąć przed się, a one dobrze przejrzeć a roztrząsnąć, a gdzieby tego potrzeba, aby była w nich moderacya znośna i sprawiedliwa". Aby zaś zupełnie wytrącić posłom broń z ręki, posunął się znacznie dalej od Zebrzydowskiego w wyrażeniu swej życzliwości dla programu szlacheckiego, podniósł bowiem otwarcie potrzebę soboru narodowego celem załatwienia na nim spraw religijnych, mówiąc: „Bo jednak to jest nawłaściwsza zmowa z Bogiem i z ludźmi, różnice też te, które są między stanem duchownym a świeckim, trzeba porównać, a i innego obyczaju do tego nie baczę, jeno aby co rychlej był złożon nie mówię concilium nacionale albo colloquium, ale synod nie tylko księżey, ale wszem stanom wolny (!). A czas na ten synod, aby tu już był mianowan, rycerskim ludziom aby tam wolno przyjechać, a w czymby wątpliwość mieli, ruminować, a wszakoż by im tego pirwej samym było potrzeba, aby się między sobą zgadzali w tych rzeczach: jeszcze wielka różnica jest około rozumienia pisma tych autorów, któreby przed się brać

[1]) Dz. s. 147—148.

chcieli (!). A do tego synodu łatwa droga, gdyż już K. J. M. słał do papieża (Maciejowskiego!) i oświadczenie tam uczynił, że zabronić tego poddanym swym nie może, jeśli żeby concilium pospolite nie doszło. A tak by już synod złożyć, na którym jeśliby się zgodzić nie mogło, tedy na sejm odnieść (!!), aby wszyscy tam o tym spólnie radzili".[1]) Śmiałe to żądanie soboru narodowego, będącego celem długoletnich zabiegów dysydentów polskich, podniesione przez biskupa wobec senatu i izby poselskiej, jak z jednej strony działało poniekąd podniecająco na wojownicze zapędy posłów, było jednak właściwie zręcznym manewrem, który miał usunąć zupełnie z porządku dziennego obrad sejmowych drażliwe kwestye religii, a zwłaszcza różnic, dzielących stan duchowny i świecki, a tem samem nie dopuścić do wybuchu walki między nimi na sejmie. Tak samo Noskowski, biskup płocki głosował za tem — „aby egzekucya co rychlej prawom była, ale z niej Boga nie ekskludować", co miało znaczyć: „aby też te różnice, które są około praw boskich, były nieopuszczone a skończone."[2]) W końcu Przerębski, wotując jako biskup chełmski, oświadczył się również za egzekucyą, nazwał ją sanitas in republica, dla której należałoby: „nie mówić wiele ale czynić": twierdził jednak, że mimo to należy z powodu „ustawicznych nowin", które „przychodzą od ludzi pewnych do K. J. Mci" o niebezpieczeństwach na kresach państwa, naprzód radzić o tem — „jakoby pograniczne strony obroną opatrzone były." Gdy się bowiem opatrzy państwo potrzebną obroną, wówczas będzie można swobodnie zająć się egzekucyą i za pomocą niej ukrócić „te rozpustności", które „się namnożyły" także „w religii".[3])

Senatorowie świeccy, wojewodowie i kasztelanowie, podobnie jak biskupi usuwali na plan dalszy religię, a głosowali za egzekucyą, tylko jedni stawiali ją przed kwestyą obrony i sądownictwa, jak hetman Tarnowski lub wojewoda krakowski, St. Tęczyński, uważający te sprawy za składowe części programu egzekucyjnego, inni stawiali ją po nich, aby ją lepiej i dokładniej przeprowadzić można było wśród pokoju, zależącego właśnie od bezpieczeństwa granic na zewnątrz i sprawiedliwości w sądach we-

[1]) Dz. s. 148.
[2]) Dz. s. 148—149.
[3]) Dz. s. 149.

wnątrz państwa.[1]) Wszyscy jednak jednogłośnie twierdzili, że egzekucyę tę koniecznie trzeba już na tym sejmie wypełnić, zalecali ten sposób, jaki podawał Uchański lub król w swej propozycyi. Tarnowski mówił: „Łaska boża, żeśmy dawno nie zginęli przez nierząd nasz w rzeczach domowych jako i postronnych, którego u nas na wszystko dosyć. A iż nam Pan Bóg tak pofolgował i czasu użycza, że wżdy jeszcze o tym mówić mamy i na tochmy się zjechali zabiegać temu nierządowi, a co lepszego stanowić ku dobremu Rzptej, możemy jeszcze rzec: *Haec est dies, quam fecit dominus,* jeśli to naprawiemy, co się nierządem pokaziło..." Szkoda nawet czas tracić na rozprawy o egzekucyi — „ale już czynić co rychlej wziąwszy przed się statuty koronne..." Wprawdzie „do egzekucyi czasu trzeba, prawda, ale może się krotko odprawić wiele rzeczy", bylе „począć czynić".[2]) Wojewoda poznański, Marc. Zborowski podnosił okoliczność znamienną, że od czterdziestu lat, odkąd on pamięta, mówi się w Polsce o tej egzekucyi, odkłada się ją od sejmu do sejmu: widać — „że o niej źle rozumiemy a stąd się jej bojemy".[3]) Tęczyński dowodził: „I nie masz czego mieć za złe panom posłom, iż się jej upominają, ale owszem im dziękować, bo tego już potrzeba, aby już doszła..." Radził rownież, jak Tarnowski, „statuta i przywileje koronne przed się wziąć, wziąwszy przeczytać i konkordować... contraria statuta porównać, a tak się dopiro łatwie znajdzie jako i o sprawiedliwości i obronie mówić". „Trzeba i temu zabieżeć — mówił — iż się wiele dzieje przeciwko Panu Bogu, aż strach i powiedzieć, co się tymi czasy w starostwie moim stało", mając na myśli stosunki panujące w ziemi krakowskiej. Zastrzegał się jednak, że — „*de religione* mówić teraz czasu nie masz".[4]) A wojewoda sieradzki, Janusz Kościelecki, generał starosta wielkopolski, podnosząc egzekucyę jako sprawę, która „wszystko w sobie zamyka", również głosował za tem, aby ze względu na nią religię odłożyć na inny czas, choćby do soboru narodowego, o jakim wspominał Uchań-

[1]) Dz. s. 149—152. Między senatorami był także brat starszy Zebrzydowskiego, Bartłomiej, wojewoda brzeski. Treść jego wotum podaje dziennik sejmowy w słowach: „To najpilniejsza, aby egzekucya co rychlej była, żeby inemu początku, którego potrzeba, nie przekazywała, a już o niej więcej nie mówić ale czynić".

[2]) Dz. s. 149—150.

[3]) Dz. s. 150.

[4]) Dz. s. 150—151.

ski.[1]) Chodziło mu o to, podobnie jak Tęczyńskiemu, o tymczasowe przynajmniej zabezpieczenie katolicyzmu i jego przedstawicieli-biskupów, którzy nie czuli się na siłach lub też nie chcieli kruszyć kopij na sejmie o wiarę i o siebie. Jednem słowem egzekucya miała być dla biskupów i senatorów katolików tarczą ochronną przeciw protestantyzmowi, którym chcieli posłowie zgruchotać Kościół rzymski, jego instytucye i jego hierarchię. W ten sposób pojął znaczenie tej egzekucyi sam król. W odpowiedzi na wota senatorskie, przesłane izbie i senatowi przez kanclerza Jana Ocieskiego, nie wspominał już o obronie, lecz główny kładł nacisk na egzekucyę, którą obiecał przeprowadzić „od deski do deski", odrzucając radę Tarnowskiego, aby dla ułatwienia i uproszczenia tej pracy pomijał mniej ważne statuta; usuwał też z porządku dziennego religię, natomiast pragnął ugłaskać posłów, podobnie jak Uchański i Kościelecki, obietnicą soboru narodowego. Mówił tedy kanclerz: „O religii zda mi się próżno mówić, bo się i to w egzekucyi wynaleść może, gdy się okaże jakowa wiara była, kiedy wolności a prawa koronne dawano (!!). I synod potym na to złożyć zda mi się, żeby teraz tym sprawom i inszym nie przekazywało" — to jest, aby dyskusya religijna nie psuła debaty o egzekucyi, o obronie i o sądach — „ale tak, aby nie był przez (bez) osoby królewskiej, a owszem, aby król J. M. z radami swymi i złożył (go) i na nim być raczył".[2])

Tymczasem posłowie w następnych dwóch dniach wszczeli spory z królem o strawne czyli opatrzenie poselskie, twierdząc, że to jest także *„non postrema pars executionis,* które na królu J. M. należy, posły opatrzywać". Tak mówił do panów w imieniu posłów Jakubowski, pisarz i poseł ziemi krakowskiej. Król oświadczył przez kasztelana bełzkiego, Dembowskiego i kasztelana przemyskiego, Starochowskiego, że opatrzenie owo im da, ale nie ze skarbu swojego, tylko „z reszty pobornych pieniędzy", które w tych dniach mu zniosą poborcy. Ale takie rozstrzygniecie sprawy, podobnie jak na sejmie warszawskim, nie zadowolniło posłów. Poczeli znowu utyskiwać na „dolegliwości koronne" — „a zwłaszcza od stanu duchownego", radzić ni tak ni owak „o obyczaju zaczęcia egzekucyi", nie mogąc zdecydować się na nic.[3]) Dopiero w sobotę 10. grudnia postanowili po wyczerpującej dyskusyi nad

[1]) Dz. s. 152.
[2]) Dz. s. 153.
[3]) Dz. s. 153—154.

propozycyą królewską i wotami senatorskiemi podziękować królowi i senatorom — „iż się tak ochotnie i wiernie o egzekucyi mówić i starać obiecali...“ następnie prosić — „aby już Król J. M. raczył ją zacząć i kończyć, wziąwszy przed się przywileje i statuta koronne wedle zdania i przodku rad koronnych, które w wotach swych ich. m. odkładali“: przyrzec, że i oni, posłowie, także „przywileje koronne i statuta przezirać będą, i cokolwiek się z nich wykroczyło, znaszać do rad koronnych przed K. J. Mci...“ — ale zarazem podnieść wbrew życzeniu króla i senatu skargi na duchownych, podnieść mianowicie „angarię wielką, którę cierpi stan szlachecki od duchowieństwa, iż na nie zakłady wielką autoritate sua stawiają“ czyli że nakładają w swych sądach na szlachtę grzywny pieniężne jako kary sądowe, że szlachtę „w sądach swoich przewodzą“ czyli do sądów swych pozywają, w końcu, że zabraniają ekskomunikowanym „klątwami duchownemi“ stawać lub świadczyć w sądach świeckich. Chcieli krzywdy te podnieść przy przeglądaniu „praw koronnych“, twierdząc, że gdy „się zacznie“ ich egzekucya, pokaże się, że duchowni „takowej jurysdykcyi mieć nie mogą“. Mieli tedy prosić króla — „aby decreto suo regio a wynalazkiem sejmowym (uchwałą sejmową) rozkazał księżey biskupom supersedere (zaniechać) takowych sądów swych i przewodów prawa“, ile że także „tu“ — t. j. w Piotrkowie — miało być „wiele osob“, które były „na posłudze Rzptej“, zapewne w charakterze posłów sejmowych, na których właśnie biskupi mieli doświadczać swej władzy, nawet zaocznie „in absentia eorum“, stosując do nich swe „prawa i zakłady“.[1]) Ale właśnie podczas dyskusyi na temat tych krzywd stanu szlacheckiego ze strony biskupów zjawił się w kole poselskiem wojewoda sandomierski, Spytek z Melsztyna z listami wojewody ruskiego, hetmana polnego Mik. Sieniawskiego, który donosił, że Turcy i Tatarzy gotują się do wyprawy na Polskę i już „ciągną do ziem pogranicznych koronnych“. Prosił tedy Spytek w imieniu króla, aby radzono „co rychlej“ o obronie państwa. Posłowie porozumiawszy się między sobą, postanowili prosić nawzajem króla, aby on „obyczajem przodków swoich i ojca swego“ zechciał państwo ratować „w tak nagłej potrzebie“, a więc jak przedtem bywało: „dworem swym i pańskimi“, a w ostateczności „ludźmi służebnymi tamtych krajów pogranicznych“, którym niechby opłacił „służbę żołnierską“ z „reszty pieniędzy poborowych“. Postanowili tak po-

---

[1]) Dz. s. 154.

mimo opozycyi posłów ziem podolskich i ruskich, pomimo perswazyi panów tych ziem, zapewne głównie wojewody podolskiego, Jana Mieleckiego, którzy jako bezpośrednio zagrożeni napadem Turków i Tatarów, pragnęli rychłego ukończenia sejmu i sądów sejmowych, aby mogli wracać do domów swych „dla pewniejszego ratunku i opatrzenia krajów onych“.[1])

Dr. Tadeusz Troskolański.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

[1]) Dz. s. 155.

Listy Kazimierza Brodzińskiego

do stryjecznej siostry, Szczęsnej.

Wydał z autografu i zaopatrzył wstępem

Aleksander Łucki.

Wiek cały upływa już od czasu, kiedy rozpoczynał działalność swą Kazimierz Brodziński, a jednak dotychczas nie mamy wyczerpującej monografii o tym tak wybitnym pisarzu. Fakt ten, niewątpliwie dziwny, usprawiedliwić można przecież w pewnej przynajmniej mierze dotkliwym brakiem materyałów biograficznych.

Wprawdzie już sam poeta prowadził przez czas, jak się zdaje dłuższy, „Dzienniczek", — później zaś spisał owe powszechnie znane, a tak piękne „Wspomnienia", — ale z „Dzienniczka" doszły nas tylko drobne fragmenty, zaś „Wspomnienia" odnoszą się wyłącznie do lat pierwszej młodości: wreszcie i wiadomości w nich podane, są często niedokładne, wiele ważnych okoliczności tylko zaznaczają, nie uwydatniając ich znaczenia w dalszem życiu Brodzińskiego.

Na poparcie tego ostatniego twierdzenia, dostarcza nam dowodu świeżo właśnie odkryte listy Kazimierza do stryjecznej siostry, Szczęsnej Brodzińskiej. Przekonamy się z nich bowiem o wielkiem znaczeniu przyjaźni z Szczęsną w życiu Brodzińskiego, dowiemy się, że znajomość ich, zawiązana podczas wspólnego po-

bytu u stryja. zamieniła się rychło w gorącą, obopólną miłość rodzeństwa. i. co najważniejsze. że uczucie to przetrwało długie lata późniejszej ich rozłąki. objawiając się na zewnątrz we wzajemnej korespondencyi. Otóż tego nie moglibyśmy przypuszczać, opierając się na samych tylko „Wspomnieniach“; znajdziemy tam bowiem wprawdzie ustęp o Szczęsnej, ale tylko z okazyi owego wspólnego pobytu u stryja.

Ustęp ten. wzięty jako fragment, jest swoją drogą jednak bardzo ładny i bez przesady powiedzieć można. że na szarem tle tych smutnych dziejów młodości naszego Kazimierza — tworzy on jakby uroczą oazę, jest prawdziwą sielanką. Dowiadujemy się mianowicie, że Szczęsnę poznał Brodziński w r. 1805 u swego stryja, proboszcza w Wojniczu. dokąd uciekł z domu macochy wkrótce po śmierci ojca. Znalazł się tam w licznem gronie rówieśników. właśnie bowiem bawił w Wojniczu jego brat Andrzej, nadto zaś czworo dzieci po drugim stryju, a jeszcze po innym — córka, to jest właśnie owa Szczęsna. Nic też dziwnego, że Kazimierz, spędziwszy właśnie samotnie dłuższy czas u macochy, a więc stęskniony za ludźmi. za przyjaznem sercem, czuł się w tem otoczeniu bardzo szczęśliwym i kilka spędzonych tam miesięcy liczył zawsze do najszczęśliwszych dni swej młodości.

Otóż wtedy to zbliżył się on do Szczęsnej i odrazu serdecznie się z nią zaprzyjaźnił, a pamięć tych miłych wspólnie spędzonych chwil odbiła się po latach we „Wspomnieniach“, w następującym opisie:

„Ja najwięcej przywiązałem się do Szczęsnej, stryjecznej siostry, która zupełnie była równego ze mną wieku i jednych skłonności. Z nią chodziłem najczęściej na łąki zbierać zioła, któreśmy zasuszali i układali z nich pewien rodzaj landszaftów. Ona wkrótce wraz z matką wyprowadziły się o pół mili do wsi Więckowic. gdzie bawiły przy państwie Miroszewskich, w pałacu pięknie umeblowanym. a raczej trudniły się dozorem domowego gospodarstwa. Tam. niewidziany od państwa lub gości, przychodziłem na sam koniec dużego ogrodu, pod umówioną morwę, gdzie wybiegała do mnie. przynosząc mleka kwaśnego i chleba, tudzież książki. jakie z biblioteki porwać mogła. Jeżeli dzień minął, gdzieśmy się nie widzieli. nie obeszło się bez listu; kochaliśmy się najczulszą miłością braterską, weseli w zabawach, a może zbyt sielankowi i gesnerowi w naszych listach... Szczęsna widziała nierównie więcej świata odemnie, miała przyzwoite wykształcenie i bywała u znakomitych pań w stolicy, a moje przecież nieokrze-

sanie wcale jej nie uderzało i często wymykając się od zabaw i gosci, wolała w ogrodzie przebywać z chłopakiem odartym, ktory nawet okna unikał, gdzie widział gości. Każdy przysmaczek, jaki się jej dostał, był wspólnie ze mną zjedzony, a z rozmowy naszej rozumowania były, jak mówiła, więcej nauczające, niżeli towarzystwo, które opuszczała. Czuliśmy do siebie nie tylko przywiązanie, ale pewne uprzedzenie o sobie; wszystkie nasze zdania były zawsze jedne i najlepsze. Szacunek dla jej wyższego poloru miałem taki, że nigdy nie odważyłem się dać jej braterskiego pocałunku: żyliśmy z sobą, jak bracia...“

Prawdziwa ta idylla nie trwała jednak długo, gdyż stryj zaraz po uporządkowaniu spadku po ojcu Kazimierza, wysłał tego ostatniego do Tarnowa na dalsze studya. Tak więc skończył się wspólny pobyt kochającego się rodzeństwa i odtąd już we „Wspomnieniach“ nigdzie nie znajdziemy wzmianki o Szczęsnej; opierając się więc tylko na „Wspomnieniach“, musielibyśmy przypuścić, że przyjaźń ta, na razie bardzo serdeczna, była jednak tylko przelotną i w późniejszem ich życiu żadnem już nie odezwała się echem.

Tymczasem, jak już wspomnieliśmy, rzecz miała się zupełnie przeciwnie. W życiu naszego Kazimierza, dotąd tak opuszczonego, samotnego lub otoczonego ludźmi zupełnie dlań obojętnymi, ogromne miało znaczenie to znalezienie serca dlań tak przyjaznego, takiej serdecznej powiernicy jego uczuć i myśli; to też nie dziwnego, że czułe jego serce nie zapomniało nigdy tego szczęścia i uczucia wtedy zaszczepionego, przechowało przez długie lata w całej pierwotnej ich sile i świeżości.

Wobec ciągłej rozłąki uczucia te wyrażać się musiały w ich korespondencyi, do której właśnie należy tych kilkanaście odszukanych listów.

Znajdują się one w zbiorach rękopisów Biblioteki Jagiellońskiej pod numerem 5628, w osobnej kopercie, zawierającej nadto kilka listów Andrzeja i Piotra Brodzińskich do Szczęsnej, oraz autografy drobnych wierszy Andrzeja i wierszyka Kazimierza pt. „Dziadek“. Listów bezpośrednio nas tu obchodzących jest 18: pisane są one wyłącznie przez Kazimierza do Szczęsnej i odnoszą się przeważnie do okresu lat od 1807 (względnie może nawet od 1806) — do r. 1820. Przeważna ich część pochodzi z Tarnowa, później trzy z Krakowa, dwa z Poznania i wreszcie dwa ostatnie

z Warszawy. Zmodernizowawszy odpowiednio pisownię i interpunkcyę, podaję dosłowny ich tekst w porządku, o ile to możliwe, chronologicznym.

I. (bez daty).

Kochana Siostruniu! Szczerym afektem rozlicznych sukcesów, fortuny, szczęścia i zdrowia i po skończonym (!) życiu Korony niebieskiej życzy Waćpannie

Brat

K. Brodziński.

Ale mi Cię żal, napiszę co jeszcze!

Żart na stronę, ale żyj tylko tak, jak zawsze, poczciwie, niewinnie, niemasz Ci co więcej życzyć.

Bądź zdrowa, — ej, jeszcze co

W. Ciotuni D. i Babuni powinszuj odemnie.

Peter kiep, wytnij go odemnie.

Adres: JMCI Szczęsna Brodzińska D. odbierze.

(Na stronie III. niedołężny rysunek z powinszowaniem Nowego Roku).

II. (bez daty, częściowo uszkodz.)

Czytaj Siostruniu!

Nunu... nudy! Już nawet i Jędruś odjechał, ach nieszczęście, jakżeśmy się żegnali, oto gdy (wyr. nieczyt.) nas wartkim pędem wściekłe losy w różnych Exystencyach (nieczyt.), jakże się im oprzeć? Oto poddajmy im się, a chociaż w przepaści bezdenne (nieczyt.) niezliczonych światów nas stawiać będą, drzyć (!) się będziem do siebie przez niebo i piekło, a stanąwszy razem, z pogardą zygać palcem będziemy na owe miejsca, po których losy z nami broiły (3 wyrazy nieczyt.). Z nudów wielkich sam nie wiem, co robić, to biegam po książkach (nieczyt.), to złorzeczę (nieczyt.) Jesieni, to wodę popijam, umyśliłem więc pisać do Siostruni, bo nie wiem, co robić, i myślę co dzień tomik jeden

podobnych Liryków jej przesłać, ale też prosze nawzajem o odpis. Wczoraj wesoły będąc, zasmuciłem się nad światem. Oto życzyłem Babuni powinszowanie, lubo nie wysiliłem się na wielkie wyrazy, ale czule i ze szczerego serca mówiłem, pomyślano sobie zapewnie, że to nieszczerze, odszedłem ciesząc się przynajmniej, że tem jestem, tylko co mówię, to myślę. — Usiadam: Przychodzi z parę osób, mówią pode drzwiami: pochlebmy staruszce, — zostawiły serce w czarnej, a usta w złotej sukience, na jakie mogły koncepta, na te się zdobywały. Odpowiedziano im: jestem przekonana, że mi dobrze życzycie i macie dobre serce. O! cóż nas nędznych ludzi obłąkiwa (!), chcemy poznać prawdy wyższych rzeczy, gdy tymczasem równych sobie poznać nie można. Rozśmiałem się i na to

Wesół na swe przeznaczenie
Rzekłem, czyż mi wiele trzeba,
Ten za łganie zjadł pieczenie,
Mnie za prawdę nic nie trzeba (?)

Ej, co tu ten nababrał, możem znudził

(nieczyt.) Przywiązański.

(Na dołączonym do tego listu arkusiku znajdują się następujące wierszyki, znowu często uszkodzone i nieczytelne):

Zima tęga, trzaskają z Mrozów tęgich domy
(nieczyt.) czemu? — bo ma dach ze słomy.

Jegomość jest ciele.

(cały niemal wierszyk zamazany).

Jaśnie oświecony.

Jaśnie oświecony byłby zbłądził w lesie.
Byłby zginął, lecz w tem mu chłop kaganek niesie.

Czemu nie klęka?

Za pewnej damy w kompanii zdrowie
Klęczkiem radzili pić kawalerowie.
Jeden się tylko temu sprzeciwiał co siła,
Czemu? bo mu się dziura w podeszwie zrobiła.

Topi się.

Nie utonę, — potok mały.
Gwałtu! pięty się zmaczały.

Franciszkan.

(przeważnie nieczytelne).

Ślepa.

Powiedziała mi ślepa, co we śnie widziała,
Żeby zawsze widziała, radziłem, by spała.

Dług oddany po miesiącu.

Po miesiącu, że oddał dług, drugi go zwodzi.
Przyszedł do niego wieczór, kiedy miesiąc wschodzi.

Król hojny.

Żołnierz w boju stracił rękę,
Tak cierpiąc nieznośną mękę,
Rzekł: król hojny, przecie da mi
Mundur z dwoma rękawami.

Z gęby mu zimno i ciepło.

Na mrozie on w ręce dmuchał,
Na gorącą kaszę dmuchał...

Jak pięść do gęby.

Mówią: tak to przystoi, jakby pięść do gęby:
Widziałem, jak przystała: wypadły mu zęby.

Głupie głowy nie łysieją.

Chwalił się łysy: głupie głowy nie łysieją.
Przytomni tej powieści z niego się rozśmieją,
Mówiąc, że jego włosy więcej warte chwały,
Że z takiej głupiej głowy wczas pouciekały.

Staruszka przędąc umiera. (nieczyt.)

To są padki (nieczytelne).

III.

Dnia 16. maja (rok nieczyt. prawdopodobnie: 1807).

Kochana Siostruniu!

List od Ciebie dopiero dalibóg 14. maja odebrałem. nie sądź więc. jeżeli nierychło mój odbierzesz. że ja nierychło odpisałem. Drugiego dnia zaraz piszę. i to byłbym jeszcze prędzej. gdyby nie starałem się posłać Ci rzecz. którąby Cię wiele ucieszyła: oto chciałem koniecznie wypenetrować dwie książki tj. Poezye Franciszka Dyonizego Kniaźnina. moralne i zabawne, dlatego czekałem. bym Ci je posłał. ale darmo. daj Boże. że ich może potem dostanę, ale za drogo kosztują. trzebaby za dwie dać z ośm z mojej biblioteki książek. Są w nich tyle dzieł: Matka do córki o cnocie, Bajki, Troiste wesele (opera). Rozmaryn (poema), Sielanki, Matka Spartanka (opera). Balon (poema w 10 pieśniach, śliczne). Cyganie (opera) i różne wiersze. Przyjmij tymczasem, co mogę posłać. Bajki Ignacego Krasickiego. trzeba z wielką czytać uwagą, upewniam. że w żadnej książce tyle smaku i morału, jakoteż piękności wiersza niema. jak w tym nieśmiertelnym pisarzu: ja także go naśladowałem w moich Bajkach. niektóre są u mnie kiepskim wierszem. ale to tylko dla rozśmieszenia Ciebie tak pisałem, i żem nie miał czasu dużo pisać, ukracałem wiele.[1]) Książka Ogrody może się nie będzie podobać. ale proszę czytać wiersze moralne. które tam są przy końcu. Dzieła Gessnera także może dosyć piękne. Chcę Ci temi trzema książkami nadgrodzić za to nieszczęsne Klimeniwo. bom go dotąd jeszcze nie zrobił. Wierszywów, co mogę, posyłam. Wierzaj mi. tak mało mam czasu teraz. że ledwie go dorwałem do pisania do Ciebie. Po francusku się zaczynam uczyć, bardzo to, widzę. łatwo: Jędrusiwo tu przejeżdżało przez Tarnów do Lwowa przed trzema niedzielami. odprowadzałem go do półtorej mili piechtą. — ci maluczko wierszywów naczytali, — pisał zaraz do mnie po przyjeździe do Lwowa i jemu także musiałem dużo pisać, prosił mię bardzo. Nadgrobki moje, których tam z parę posyłam. okrutnie mu się podobały i bajki o Ojcu i dzieciach..).

---

[1]) Brodziński mówi tu zapewne o bajkach, przesłanych w poprzednim liście.

Przetłómaczyłem tu dramę śliczną i smutną z niemieckiego (w przypisku: pt. Sydonia czyli mniemana czarnoksiężniczka), której czasu niemam przepisać, chyba na wakacyach. Piszesz mi, że masz książki niemieckie, ale nie masz w nich gustu: upewniam, że pomimo wszystkiego Niemcom przyznać potrzeba, że najpiękniejsze książki u nich są; przeczytaj tylko jedną całą, upewniam, że się podobać będzie, bo naturalnie, kiedy co z niechcenia i nie całe czytamy, podobać się nie może; a jeżeli nie rozumiesz dobrze, trzeba się koniecznie wprawiać w czytanie, bo po niemiecku bardzo ciężko się nauczyć z reguł, tylko z czytania i używania. Jeżeli Ci się zdarzy widzieć niemieckie książki, upatruj osobliwie sztuk teatralnych vom August von Kotzebue, te są na podziw wszystkie śliczne a wprawiwszy się w te powoli, łatwo wszystkie czytać i nie z uprzykrzeniem będziesz: tak i ja ich dawniej nie lubił, a teraz nad wszystkie...

Książki chyba na wakacye przywieziesz, ale pewnie i nie zterane (!). Posłałem Jędrusiowi, jak był w Krakowie, na kilka książek, ale go list nie doszedł, nie wiem dlaczego: i pieniądze przepadły i książek niema. Nie wiem, jak Twoje Siostruniu, wakacye będą, bo może od września do Wszystkich Świętych. Ja sobie tu wesoły podług tego, na czem ja wesołość moją zakładam; niejeden zbrodniarz chce sobie założyć szczęśliwość, ale być jej udziałem nie może, dobrze też napisał Krasicki:

Użyjmy dobrej chwili mimo zdania gminne,
Śmiechy, żarty, zabawki czułe i niewinne
Niechaj liczbę zbyt krótką dni naszych przedzielą,
Źli się siłą weselić, dobrzy się weselą.

K. Brodziński.

Nadgrobek Próżniakowi.

Żyłeś na świecie, nikt nie wiedział o tem;
Był tu człek, a któż ma pamiątkę miłą.
Rolniku krwawo twym robiący potem
Ziemi ci chyba kawałek przybyło.

Nadgrobek Cnotliwemu.

Na co cnotliwe tu liczyć sprawy,
Będęż rozwodził twe cnoty i szlochał,

Napiszę tylko, o, ileż sławy,
Oto cię tylko cnotliwy kochał.

(Dopisek na marginesie): Jeżelim Cię ucieszył książkami, daj mi za to podarunek, a to — odpisuj prędko i dużo, dużo, dużo bardzo... Te książeczki posyłam, bo mi niepotrzebne, Tobie się może zdadzą na co. Litwins... już w Mogilinach dawno i u niego mi kilka książek przepadło.

IV.

Dnia 21. lipca 1807 r.

Pani Siostro!

Kiedy też Twoje listy oba razem prawie przywędrowały, jeden po przyjeździe z Krakowa, drugi odpis (?). Może lubisz długie listy, jak ja, ale materyi jak ty, tak ja nie mamy do długich listów; mając bogactwo, miałbym pisać o zarobkach, procentach, ale dzięki Bogu nie ma nic, będąc polirykiem pisałbym, wiele zginęło Francuzów albo Moskali, o co się biją i za co? — ale ja nie wiem nic, niech się tam biją: za co? wiem, (że) nie za mnie, bom nikomu nic nie winien, więc mię głowa o to nie boli; o jarmarku Dąbrowskim bym doniósł, kto co kupił lub stracił: — jedni płaczą, że ich okradli, mnie nie okradli, anim nic nie stracił, kontent jestem. Cóż Ci więc doniosę? oto dzień Ci wczorajszy opiszę: mieliśmy studencką zabawę z profesorem; lepsza ona była od wielkich pańskich zabaw, ani tam było cukrów, ale w pańskich cukrach często gorycz panowie czują i przy wetach siedząc, niejeden radby porwać chłopu kawał chleba, co go konsumuje bez ceremonii. Już ja się przygotowawszy, wyszliśmy w pole (!) (i) tę moją pieśń śpiewali kamraci: chwalił ją profesor, była moralna do naszego wieku:

Cieszcie się bracia, pókiście młodzi,
Dla nas ta łąka, owoc uroczy:
Niech kto chce, w losu ślepotę wchodzi,
A my czekajmy, co nam los stoczy.

Bawmy się, pięknie póki na łące,
Pijmy go, póki zdrój czysty płynie,
Rwijmy z tej łąki kwiaty pachnące,
Tam je nieść będziem, gdzie wiosna zginie.

Ale słuchajcie, idźmy powoli,
Wiecie, że w podróż iść mamy dali.
Z biegania doby noga zaboli,
Cieszmy się, byśmy nie żałowali.

Nota bene były to, zapomniałem napisać, Imieniny Profesora, ja prawie najpierwszy poszedłem winszować, dostałem kawy i takem sobie marzył przy niej:

Ej, bodaj to żyć w dziewiętnastym wieku,
Może w dwudziestym jeszcze lepiej będzie:
Cieszyć się z tego, co dzierżysz człowieku,
To jest najlepiej w przyrodzonym rzędzie.
Achilles, Cezar wielcy ludzie byli,
Jednakże kawy z śmietanką nie pili.

bo w tym wieku, w którym żyli, jeszcze kawy nie gotowano, więc ja pił lepsze, choć oni byli wielcy:

Wielcy? cóż z tego? ja im nie zazdroszczę,
Byli, — ja jestem, śpię, piję i jadam,
Przebiorę miarę, więc się przeposzczę,
I znowu wesół jem, piję i gadam.
Przejdę, a o mnie nie będzie się badał
Ten, który po mnie będzie jadł, pił, gadał.

Gdyśmy wyszli w pole, słońce pięknie wschodziło, byłaby piękna pora przywitać go wierszami, ale już mu dużo śpiewali poeci, — niechże go więc ptaszki witają:

Pozdrawiajcie miłe ptaszki,
Pozdrawiajcie jasność słońca,
Rzeźwcie dzień swemi igraszki,
Nim się zabierze do końca.
Niech uprawiając zagony
Słucha was rolnik znużony...
Odzywajcie się ptaszęta,
Zorze nikną, słońce wschodzi,
Do piosneczek, o dziewczęta,
Chłopcy, milczeć się nie godzi:
Zaczynajcie wdzięczną zgrają,
Niechaj echa powtarzają...

A ja słucham i w lubej prostocie widzę wiek złoty, bawimy się, ale jakież to nasze zabawy z ową żywą radością tych, co to zowiemy prostakami:

Na wsi męska radość, żywa.
Tam uprzejma, tam prawdziwa.
Wstyd rumieńcem twarze wdzięczy.
Prawą przyjaźń cnota więczy (!).

Słońce zaczęło dopiekać, poszliśmy do lasku:

Nie kunsztowny, nie wspaniały
Nie są tu przesadów (!) cuda,
Ani wielki, ani mały,
I taki się czasem uda.
Ścieżki kręte, potoczyste.
Drzewa spore, gałęziste.
Miło błądzić w tych uliczkach.
Widząc cienie, kwiat w zawiązkach...
Spada strumyk po kamyczkach.
Wiatr szeleści po gałązkach.
Świeża trawka w drzewach cieniu
Wabi wdzięcznie ku spocznieniu.

Zmordowany siadłem na brzegu strumyka i patrząc w kręty bieg jego rzekłem:

Pomiędzy łąki, ogrody
Płyniesz rozkoszny strumyku:
Idą spiesznie twoje wody.
Mruczysz sobie na kamyku.
Jak my żyjem, tak ty płyniesz.
I my przejdziem, i ty zginiesz.

Tak potem polatawszy po lesie, nagadawszy, co który mógł, różne były sprzeczki:

Były też i dysputy o gwiazdach i słońcu.
Różnie różni sądzili, jednakże przy końcu
Profesor najdokładniej radzenie osłodził:
Wiśnie, chleb biały, smaczny wnet mędrców pogodził.

Jakaż to miła pora jeść dobrze, pić smaczno i bawić się w równym (!) towarzystwie: wszak i w zakonnym refektarzu:

Brat Kapistran przy pulpicie
Czyta z Skargi świętych życie.
A ojciec Rafał tymczasem
Pomrukując sobie basem.
Chwaląc wstrzemięźliwość świętą.
Dusi flaszkę nadpoczętą.

Powiada Tacyt, jeden pismak, iż ludzie północni lubią długo biesiadować, byłaby niegrzeczność zadawać fałsz tak wielkiemu człowiekowi, dlatego nagadawszy, naśmiawszy się, rozeszliśmy się: gdzie kto chce idzie:

A ja w pole, między zboże,
Tam, gdy w bruździe się położę,
Słucham, jak ptaszęta nucą,
Jak się godzą, jak się kłócą.
Kończy się ich dzienna praca,
Do gniazdeczka każde wraca:
Wraca z plonem czułość matek,
Wita je pisk małych dziatek;
Rosa pada, czas się chłodzi,
Zorze gasną, księżyc wschodzi.

Jakaż to słodka pora, w spoczynku przyrodzenie:

Zda się sapać przyszłe pienia,
Jednakże się coś odzywa:
Bąk w jeziorze wznosi brzmienia,
Derkacz je grdaniem przerywa.
Noc ponurą rzeźwi w cieniach
Słowik czuły w swych nuceniach.
Lśkni się niebo z gwiazd wielości,
Lśkni się wiecznotrwałym szykiem:
W nieprzejrzanej ogromności
Owe światy są płomykiem.
Myśl się wzmaga i upada,
Czuje, kto wzniósł i posiada. (w nawiasie: Bóg).

Potem powróciłem do domu, myśląc do Ciebie Siostruniu list pisać. O Jędrusiu, żal mi go, że może źle sądzisz, ale ja Ci powiadam, że musiał jechać nie dlatego, żeby szkoły skończył, i owszem, że we Lwowie dają teraz jakąś Materyę, której już w Krakowie nie dają, a przez ten rok Jędruś, co nie chodził do szkół, powinien był jej słuchać, więc jak to wysłucha, przyjedzie tu. Wdzięczny Ci będzie niezmiernie, gdym mu doniósł, żeś Ty tak o niego troskliwa. Mnie pisał już dwa razy, dobrze mu się powodzi, przepisawszy nieco dzieł swoich, zaniósł je pewnemu Hannowi, konsyliarzowi gubernialnemu, który jest krytykiem książek, wychodzących z druku: tak go polubił tamten, iż wszelką, jaką tylko pomoc będzie mu mógł zrobić, nie odmówił mu jej. Dzieła Jędrusia już podpisane w krytyce, może są już i w druku, jakże ja się z tego cieszę: on jest tymczasem u Borysiewicza, ma

darmo stół i stancyę u niego, ma nawet i inne przyzwoite miejsce, ale tenże nie chce go przyjąć: pisz list do niego. ja się tu spodziewam okazyi, to mu go poszlę. ucieszy się. W moim tym liście nie są wszystkie wiersze moje. wybrałem niektóre nie dlatego, żeby sobie je przywłaszczyć, ale że Tobie je posyłać byłoby dużo pisania i nie takby Cię może bawiły: ale jest tu i więcej moich, co się dało przystosować, tom włożył. Posyłam Ci listy Krasickiego. źle pisane,[1]) nie spodziewałem się, żebym Ci je posłał, ale, że nie mam co innego. czytaj kilka razy. warto jest, osobliwie o wilczurze schowaj. Mam tu książkę, powieść moralną Marmontela[2]) dla Ciebie; posłać Ci jej nie mogę, ale niedługo będzie Twoja.

Brodziński, brat.

A pisz też Waćpanna przecie.

V.

Dnia 7. grudnia 1807 r.

Najukochańsza Siostruniu!

Zasmuciłaś się zapewne, że przez tak pewną wczorajsza sposobność nie pisałem do Ciebie. czyli prędzej, że książek nie posłałem na wtorek. Wymówki na to. wiem, nie potrzebujesz. bo nie myślisz zapewne. iżbym był opieszały na takie prośby. których. gdyby mnie samemu kto inny tak nie chciał uczynić, pewniebym się smucił. Oto książek tych nie miałem w domu, chodziłem po nie dwa razy, ale nie mogłem zastać tego, któremu je pożyczyłem.' za trzecią razą ledwie dostałem i pobiegłem do Kazaneckiego, ale już okazya odeszła. Miło. jeżeli Ci tylko prędko oddano teraz. Może nie będą Cię bawić wszystkie, ale innych nie mam. Z czytaniem nie bardzo się spiesz, bo może nie będę miał zaraz Ci co posłać. Jeżeli J. Xiądz N. N. ze Lwowa powróci, proszę Cię też o jak najprędsze odesłanie mi listu, jeżeli będzie do mnie, (w przypisku: jak niema, to nie odsyłać bardzo pro-

---

[1]) Uwagę tę należy zapewne odnieść do niedbałego odpisu rękopiśmiennego, w jakim Brodziński posyłał te Listy Krasickiego.

[2]) J. Fr. Marmontel — powieściopisarz franc. (1723—1799); utwory jego tłómaczyli u nas Węgierski i Kłokocki.

szę...): że on też to nie pisał pierwszą okazyą do mnie, ani nawet podobno do Ciebie; ja tu napisałem list do niego i długi bardzo, prosiłem żyda jednego, żeby go wziął, bo miał jechać do Lwowa, obiecał i nie przyszedł, i pojechał i nie wziął, i przepadła moja praca; — to był szelma żyd! (w przypisku: a dałem mu ostatnie z Częst.).

Ta książka niemiecka, jeżeli się podobać będzie, czytaj, są tam niektóre bardzo piękne kawałki, i donieś mi, czy Ci się podoba, dam Ci ją, jeżeli chcesz, a nie, to (wyr. nieczyt.). Donieś mi też o naszej Honorasi, czy nie pisała. Jeżeli chcesz pisać do Jędrusia, będę miał okazyę, ale może nie zaraz, a pisz WPanna.

Adieu

Kochający Cię Brat

Kazimierz Brodziński.

Mamuni i Babuni Dobrodziejkom uszanowanie moje dołączam. A nie pojedzie też tam kto do Krakowa, hę?

(Na marginesie): Był tu wczoraj pewny Jegomość z Niemczech (!) i dawał koncert, na czym, zgadej (!) — oto na Brómli Dalibóg, — ale że aże po Ryńskiemu bilet, nie poszedłem, a więc Ci więcej nic nie mogę donieść, czyli się spisał, czy nie...

VI. (bez daty).

Siostruniu!

Właśnie dzisiaj przed przyjazdem Franusia myślałem sobie, że może siostrzyczki będą sobie jutro winszowały Nowego Roku, i tak jedna powie drugiej:

Daj mi rękę, siostro miła,
By nam skąd nie przyszła strata;
Ty mię będziesz prowadziła
W pośród cierni tego świata,
Idąc wyroków nakazem,
W deszcz, pogodę, byle razem.

Tak razem będziecie żyć, a ja myślą (bo los nie zezwoli inaczej) będę z Wami tak, jak byłem przez całe święta. Nie mogę

się namyśleć, żebyście moje Siostry tak się moim nieprzyjazdem strapiły, tem się tylko pocieszam, że to może nieprawda, tak, muszę nie wierzyć, bo gdybym wierzył, Boże, jakżebym w liście moje wzruszenie wyraził. Cóżkolwiekbądź, niezmiernie tem tknięty jestem, moja Siostruniu, że jak razem żyć poczęliśmy, tak nasze przywiązanie z latami wzrasta; ile żeś Ty tego godna! ale ja, wiesz sama, że nie zasłużyłem na to. Nie piszże mi też nigdy, moja Siostruniu kochana o tem, żeś smutna, prawda, że dobrze się dzielić, ale lepiej się dzielić kroplą słodyczy, niż morzem gorzkości; piszesz mi jeszcze, że mi darujesz wesołość Twoją. Oj, najdroższa Siostruniu, jabym był najnieszczęśliwszy, gdybym Ci miał ten skarb zabrać. Wiesz, jak trudno takie rzeczy słyszeć, a jeszcze mnie o Tobie. Teraz i ja trochę smutny jestem, moja Siostruniu, musi to Pan Bóg litościwie patrzeć z nieba, że ludzie sami biedni pocieszają jak mogą drugich, dlatego musi On coś dla każdego gotować dobrego. Wczoraj odprowadzaliśmy wesoło, bo wszyscy, naszego przyjaciela Maźniewskiego, spodziewaliśmy się smutnego rozstania na drodze:

Dobry tru...
Na frasu...

i wzięliśmy do wozu wina, wóz dyabli wywrócili, wino się rozlało, nie mieliśmy czem smutnej sceny zalać i musieliśmy ją nieco łzami pokropić; po pożegnaniu się żaden do drugiego nie mówił, koniom puszczono cugle i tak zwolna, smutno i cicho postępowaliśmy do domu. Ile to takich smutnych scen nie trzeba będzie jeszcze przeżyć na świecie! ale iluż jeszcze nie doczekamy się wesołych! Naprzykład osiem niedziel minie, a ja jestem w pogoni, witam się z Tobą. To, to słodka nadzieja. Nadzieja musi to być żona losu, dobra żona, męża ma takiego dziwaka i pijaka, — ale doczekam się przecie, że Ci będę mógł ustnie powiedzieć tyle razy powtarzane, zawsze większe, najszczersze moje

Droga Siostruniu ku Tobie przywiązanie

Brat Twój

Brodziński.

Kochanego szwagra ściskam i całuję.

VII.

Tarnów, 12. X-bra 1808 r.

Kochana Siostruniu!

Z żalem wielkim dowiedziałem się, że już jadąc do Tarnowa, wrócić się musiałaś: zimna ta rzeka nie tylko na zimę, ale i na moje życzenia (tom się wysilił!) Serdecznie Ci dzięki przez przyjaciółkę Twoją za Twoją o mnie pamięć zasyłam. Piszże do mnie jak najprędzej, choćby i jutro, poszlę Ci Karpińskiego, tomik dawnych Edycyi, już mam obiecane. Jak mogę, radbym sobie na Twój list zarobić, ale to podobno wszystko napróżno, jeżeli Ty nie zechcesz. Podczas targów tuzinami bab Wojnickich z mąką zasiada na rynku, a przez żadną też nie piszesz; Frankiewicz by zawsze zaniósł w wigilię targu. Ten sobie popadł z mojemi (!) listami, powiesz sobie, ale wierzaj mi, że w święta, jak tylko mię Nudy męczą, biorę pakę Twoich listów i czytam, przez co zaraz nudy odstraszę. Tę grubą książkę prędko odsełaj (!). — W. Stryjaszkowi najniższy ukłon zasełam, zmiłuj się niech ja też na listy moje jaką odpowiedź dostanę, proś, jak możesz, dla Brata

Twojego — *K. Brodzińskiego.*

Adres: A Mademoiselle Felice Brodzińska
ma tres chere seur.

VIII. (bez daty).

Droga Siostruniu!

Jeżeli dawno nie pisałem do Ciebie, dziękuję Ci najczulej, iż przecie nie myślałaś, iż o Tobie zapomniałem, ale przyczyna, którą masz domyślania się o milczeniu moim (!) i taka była nawet (?). Bogdajby się ludzie nie kochali, jeżeliby przez to mieli już zapominać na Dobrodziejów. Przyjaciół i na tak, jak Ty, poczciwą Siostrunię! Nie wierzyłem, wydałaś się Siostruniu sama, („bierz ze mnie przykład, i tak piszę do Ciebie"): wyraz ten pomimo sprawiedliwego wyrzutu ucieszył mię. Pisałbym Ci dużo, gdyby, — wiesz co, — nie, żem na końcu wakacyi nie był

w Wojniczu (z) przyczyny, żem nierychło do Tarnowa przyjechał, a choćby i wczas, dzieci tak swywolnych na krok odejść trudno, a dopieroż odjechać (?). Daj Boże, byśmy się wkrótce widzieli: od Służnowskich dziś, jak na złość okazya, trzy listy mam odpisywać szlachcie.

Bądź zdrowa, szczęśliwsza, jak Twój brat

kochający Cię

K. Brodziński.

(Dokończenie nastąpi.)

Pamiętnik Napoleona Sierawskiego,

oficera konnego pułku Gwardyi za czasów ks. Konstantego.

(Ciąg dalszy).

Szliśmy okolicą prawego brzegu Wisły, za nami posuwały się bandy mecklerów pruskich i handlarzy koni, którzy od potrzebujących za bezcen je kupowali. Ja prowadziłem za sobą cztery konie. jednego dzielnego mego wierzchowca bojowego, drugiego powodowego pod juki. dwa wzięte z szwadronu wiedli żołnierze: w tym marszu sprzedałem te ostatnie za 65 talarów na ratunek zdrowia. Tak idąc małymi etapami, minęliśmy Grudziądz, Kwidzyn i doszliśmy do Malborga; tu nam dwa dni udzielono wypoczynku, można też było się napatrzeć starożytnemu miastu, a szczególniej potężnym gmachom Zakonu krzyżackiego. Małom jednak z tego korzystał, leżąc chory bez ducha. Miałem kwaterę u właściciela domu z polskiem nazwiskiem. lecz ani słowa już naszej mowy nie rozumiał. Doszliśmy nakoniec pod sam Gdańsk i rozłożyli się na tak zwanych Żuławach, w tym kraju tyle bogatym, że mimowolnie wzdychaliśmy smucąc się, że nasza Polska nie ma takiego pozoru.

Dostałem kwaterę u kolonisty nazwiskiem Titz. Niemiec był już siwy, suchy, z wiekuistą fajką w ustach. Żona i jedynaczka córka Malchen, całą rodzinę składały; obok tego dwóch knechtów służących i trzy dziewczyny. Dom murowany pod dachówką, o pięciu czyściutkich izbach, w oknach firanki; stajnia i obora

murowane; dwie stodoły z chrustu pod gontem, szopa na wozy. Ogród owocowy otaczał tę porządną zagrodę, która obejmowała z 90 morgów magdeburgskich.

Titz uprzejmie mnie przyjął, przemówił po niemiecku, odpowiedziałem podaniem ręki, bom mało rozumiał, a jeszcze mniej tym językiem władał. Wziął mnie pod ramię, wprowadził do gościnnego pokoju, a wskazując na belkę sufitu, rzekł: „znam Polaków“. Spojrzałem na nią, był wyrżnięty napis: „Ignacy Żeliński, kapitan wojsk polskich — rok 1813“. Wytłómaczyłem moim gospodarzom, że Żeliński jeszcze żyje i jest pułkownikiem: cieszył się tem niezmiernie. Po chwili weszła panna Malchen, nakrywszy stół, przyniosła dzban kawy, bułki i masło. Ujrzałem się więc po tem tyle twardem obozowem życiu, wśród jakiejś przyjaznej i poczciwej rodziny, w mieszkaniu cichem — i wyznam, że mi się oczy zwilżyły, bo mnie febra zdenerwowała. Pocieszała mnie pani domu, Malchen się uwijała, a gdym oświadczył, żem chory, że mnie już gorączka porywa, wnet posłano łóżko, pełne miękkich i czystych betów. Ordynansi moi wnieśli juki, zapewnili, że konie dobrze ulokowane. Położyłem się przeto do łóżka, przyszła gorączka, a póki trwała, poczciwa gospodyni ciągle mi usługiwała. Na dzień drugi, wzmocniony nieco, obejrzałem się po pokoju; był obszerny, frontowy, o trzech oknach, podłoga lakierowana, kilka sztychów na ścianie: portrety króla pruskiego, Blüchera, i bitwa pod Lipskiem: pod oknem fortepian niewielki, meble czarno lakierowane, wyścielane, z białem jak śnieg nakryciem. Byłem smutny, ale czułem, że mi tu dobrze będzie.

Że febra była czwartaczka, trzeciego dnia wybrałem się do Gdańska szukać rady lekarskiej; pojechałem konno z kilku kolegami. Doktor zapisał mi chinę ordynaryjną, bośmy jeszcze ekstraktu chininy nie znali: trzeba było pełnemi łyżkami ją co godzina zażywać, a była to prawdziwa męczarnia.

Do dziś dnia żywię w sercu mojem wdzięczność dla tej poczciwej niemieckiej rodziny, za ich starania koło mnie, pieczołowitość i doznane wygody. Za dwa złote dziennie, miałem do zbytku kawy, obiad, kolacyę, opał, świece, nawet pranie: furaż dla koni osobno płaciłem. Na drugi dzień pierwszego mego noclegu przyszedł do mnie mój ordynans Jankowski, umyty, ogolony, wąsy wyczernione i zakręcone, zdając raport, że konie zdrowe, napojone, owies chrupią — i mówi: „niechno pan porucznik wstaje, pokaże coś ciekawego...“

— Cóż tam takiego? — odrzekłem.

— O, to dziwowisko!... sześć krów w oborze za rogi na łańcuchach u żłobu stoi, a wszystkie ogony do góry na blokach i sznurach do sufitu przywiązane. To nic jeszcze, ale te paskudne Niemcy, wychodek dziś szorowali...

Pierwszy raz od wielu dni się roześmiałem.

Kolonia, bo nie wieś, jaką zamieszkałem, nazywała się Mügenhall; budowle w szerokich odstępach wyciągały się w długą linię; że ulica była brukowana i ogrodzona, można było wygodnie kolegów odwiedzać; od Gdańska nie było jak pół mili odległości. Szły mi dnie cicho i spokojnie, febrę zgubiłem; konno w kilku kolegów, wziąwszy mego ordynansa z sobą, pojechaliśmy do miasta w dzień pogodny, a przedewszystkiem do portu.

Gdyśmy minęli ostatnie przedmieście, nagle z za węgła potężnej kamienicy morze Bałtyckie nam się odsłoniło. Wspaniały jego widok zawsze wzrusza patrzącego: mój ordynans Jankowski stanął, jak wryty, otwierając wielkie oczy... w końcu pyta mnie:

— Panie poruczniku! co to jest?...

— Morze — odpowiadam.

— A za niem co?...

— Znów lądy, na których ludzie mieszkają...

A on: Och! chyba nie!... tam już koniec świata!... i wierzyć tem więcej nie chciał, żem mu tłómaczył, iż do tych lądów będzie ze trzysta mil, może i więcej.

W porcie ruch wielki — kilkaset okrętów kupieckich ładowało zboże i drzewo budulcowe już obrobione; roje robotników pracowały przy jakimś kadencyjnym śpiewie. Wisła przy ujściu swem szeroko się rozlewała. Odznaczała się w porcie ogromna fregata wojenna angielska z rozwiniętą swą flagą; na prawo cytadela portowa Weichselmünde, głęboko i klinem w morze wysunięta, a to morze lekko się bałwaniło, gdzieś daleko na przodzie, coś jakby mgłą się bieliło — to wyspa Hela. Dobrą godzinę z prawdziwem zajęciem przypatrywaliśmy się temu nowemu dla nas widokowi. Wracając do miasta, jadąc ulicami, odbieraliśmy wojskowe honory od szyldwachów pruskich — stanęliśmy w hotelu Angielskim. Po dobrym obiedzie, podczas którego Niemcy prawie nas oblegali, poszliśmy oglądać miasto. W pysznym gmachu ratuszowym, w głównej sali, ujrzeliśmy wizerunki olejno malowane naszych dawnych królów polskich, ale oprowadzający nas Prusak kilka tylko ich imion wiedział. Tuż ogromny i potężny kościół. Nie będę go opisywał, bo go mało po tylu latach pamiętam, ale nadmieniam, że podziwiałem bogactwo jego ornamentów

wewnętrznych. Dwa szczegóły w nim mnie szczególnie uderzyły. Wielkich rozmiarów olejny obraz Sądu ostatecznego — był tam i Stwórca wszechświatów, Archanioł trąbiący i wzywający niezliczoną moc różnych postaci z grobów — byli i dyabli z widłami — w dali ognie piekielne, a co szczególniejsza, w kącie obrazu i jego narożniku, huzar niemiecki spokojnie palący tytoń z krótkiej fajeczki. Trudno się dorozumieć w tem myśli artysty. Malowidło to jednak uderzyło swym ogromem i było istotnie imponującem. W bocznej niszy czy kaplicy był znowu zegar, średnicy najmniej stóp sześciu, bogato rzeźbiony, ale zepsuty: opowiadano nam, że przy każdem wybiciu godziny, wychodziło dwunastu apostołów i kolisty swój pochód odbywało; były i inne podobnego rodzaju, ruszające się pod ukrytą maszyneryą postacie. W mieście ulice ciasne, kamienice bardzo wysokie. Kanały miasto przerzynały, nad nimi olbrzymie spichrze murowane, do których okręty kupieckie dopływały. Całe miasto otoczone silnemi fortyfikacyami i bastyonami, z których paszcze armat wyglądały. W ogólności ruch na ulicach wielki. W cukierni próbowaliśmy sławnych gdańskich marcepanów, a te były wyśmienite, jak również przy obiedzie ryby morskie, szczególniej smażone, a tak zwane flondry.

Odwiedziliśmy pułkownika Zielonkę, który mieszkał w mieście; uściskał nas serdecznie i powiadomił, że rząd pruski będzie nam płacił żołd włącznie do stopnia kapitana, po 30 talarów miesięcznie, sztabs-oficerom po 50, żołnierzom złoty na dzień, z którego potrącaną będzie żywność po kwaterach dawana i jakiś „szlafgeld“.

Wyszedłszy, wróciliśmy do hotelu na kawę, zastaliśmy kilkunastu oficerów pruskich, od huzarów gwardyi Kajserlinga, wnet znajomość się znalazła, uderzyliśmy w butelki, trwała gawęda tak długo, że fortecę o godzinie 9 wieczór zamknięto i musieliśmy nocować. Na drugi dzień znów śniadanie z huzarami: wróciwszy do wsi, dowiedziałem się, że byli o mnie niespokojni, panna Malchen pogroziła mi paluszkiem po nosie, pocałowałem ją w rękę, z czego była uszczęśliwiona. Z nią jedną mogłem się rozmówić, bo będąc na pensyi w Gdańsku, dość płynnie mówiła po francusku, ale niegodziwym akcentem. Na nieszczęście febrę to gubiłem, to znów wracała — zmizerniałem, schudłem, gorączki mnie trawiły: pocieszała mnie ta niemiecka rodzina, a Malchen była moim opiekunem. Było to dziewczę młode lat ośmnastu, zgrabna, pulchna, o twarzy miłej, włosów i oczu jasnych. Zażyłość nasza z dnia na

dzień wzrastała, dostrzegłem w końcu, że mnie pokochała!... nigdym jednak żadnego słowa zachęty jej nie udzielił.

W końcu grudnia pewnego dnia, przyszedł do mnie stary Titz z jakiemiś papierami, długo i uroczyście mówił, ilem mógł zrozumieć, wchodził w moje położenie, badał co myślę począć na przyszłość.. a w końcu z papierów wyjmując jakies druki, pokazywał cyfry tysiąców talarów; dorozumiałem się, że są to kwity depozytowe Banku berlińskiego na jego kapitały, było ich do 40.000 talarów. Wreszcie nagadawszy wiele, wypaliwszy kilka fajek, przyszedł do konkluzyi... wziął mnie za rękę i wypowiedział swe ostatnie słowo: „Herr Leutenant... to, co widzisz, jest pracą moją, ojca i dziada — zostań z nami... dam ci moją Malchen i moją fortunę!...“

Z jego długich kołowań i przemówień domyślałem się o co idzie: słuchając go, rozmyślałem co odpowiedzieć. Wreszcie uściskawszy go najserdeczniej, powiedziałem, że mam rodzinę w Polsce, że winienem się jej poradzić, że to zaraz uczynię, że nakoniec proszę o czas zastanowienia się. Weszła Malchen, bystro mi w oczy spojrzała. Gdy nakrywała do kawy, rączęta się jej trzęsły. W tej chwili, pod wrażeniem takiego przywiązania, istotnie zmiękłem. Wziąłem jej rękę i uścisnąłem ją... Nie było woli Bożej — ta sekunda, w której mogło wybić moje przeznaczenie, minęła...

Od tej chwili Malchen spoważniała, stała się rzewną, trudno mi przychodziło ją rozweselić, unikała mnie nieco, wzdragała się śpiewać przy fortepianie, a gdym ją raz uprosił, po smutnym śpiewie, gdym siedział przy niej, oparłszy głowę o piersi moje, krzyż wojskowy, com go zawsze nosił, ucałowała i rozpłakała się. Zaczałem się do niej przywiązywać, ale gdy serce już się odzywało, ciało upadało pod ciągłą febrą i gorączką. Nogi zaczęły mi puchnąć, wątroba dokuczać, zwątpiłem o życiu — a biedna Malchen chodziła z czerwonemi od płaczu oczyma.

W tym czasie odebrałem odpowiedź od mego stryja, posiadającego majątek ziemski w Opoczyńskiem, a bezdzietnego, z radami, aby wrócić do kraju. W tych zdawało mi się upatrywać, że zamierza mi przyszłość zapewnić. Tęskniłem istotnie od ojczyzny, jednak nic jeszcze nie postanowiłem.

Niedługo potem przyszło wezwanie od pułkownika Zielonki, abyśmy się wszyscy stawili. Wolny mając dzień od bolesnej febry, pojechałem. Oświadczył nam, że nasze oddziały, w Prusach konsystujące, dostały rozkaz od tego rządu zdeklarowania się, co

zamierzają począć z sobą w przyszłości? Że wolno wydalić się do Francyi, wolno również, kto będzie chciał. powrócić do Polski, a wracającym cesarz zapewni zupełną amnestyę.

Między nami było kilku żonatych i dzietnych. Ci oczywiście nie zawahali się powrócić do Warszawy. Byli też oficerowie rodem z Galicyi i Księstwa Poznańskiego. Tam mając rodziny, postanowili wrócić do nich, mała liczba nas krajowców. nie wiedziała co z sobą począć, więc prosiliśmy Zielonkę o radę.

Odpowiedział nam: „Znam Francuzów. ogół nam sprzyja i z nami sympatyzuje, ale gdy przyjdzie pomagać jednostkom, odmówią... Do wojska panów nie przyjmą. na to trzeba być rodowitym Francuzem. Legionów polskich tworzyć nie pozwolą dla swej polityki zagranicznej. Chcecie walczyć z niedostatkiem i przeciwnościami życia?... idźcie za Ren. Sądzę jednak, że w kraju naszym znajdziecie współczucie — może też cesarz wojsko polskie przywróci — ja jadę do Polski.“

Postanowiliśmy wrócić do kraju.

Zdaniem Zielonki było. że gdy pułk nasz był gwardyą cesarską, a on sam flügel-adjutantem Mikołaja. znajdowaliśmy się przeto w wyjątkowem położeniu, mogliśmy działać odrębnie i niezależnie od innych oddziałów wojsk naszych. Radził, aby ci. którzy zamierzają wrócić. podali o to prośbę do cesarza. Zgodzono się na to. — Adjutant pułkowy, Edward Tys, zredagował po francusku pełną szlachetności prośbę, a ta we dwie godziny była gotową. Podpisali ją koledzy porządkiem starszeństwa; gdy na mnie przyszła kolej, stanął mi na myśli mój ojciec. który pewno kraj rzucić postanowił i emigrować do Francyi, stanęła mi w oczach postać poczciwej i kochającej Malchen. rodzina w Krakowie bez opieki i sposobu utrzymania się — zawahałem się pod tylu obowiązkami... Przyszła też wątpliwość. czy przeżyję tę nieszczęśliwą chorobę, przybierającą codzień groźniejsze rozmiary. Umrzeć na swojej ziemi. było ostatniem mojem pragnieniem. Podpisałem. Nazajutrz Zielonka sztafetą wysłał nasze podanie do Petersburga.

ROZDZIAŁ XIV.

Rzut oka na przeszłość Królestwa Polskiego od roku 1815 do 1830 włącznie. — Polityka cesarza Aleksandra I. — Uwagi nad artykułem Kongresu Wiedeńskiego, dotyczącym Królestwa Polskiego. — Uwagi nad rządami jego. — Jak pojmować należy akt koronacyjny cesarza Mikołaja na króla polskiego? — Czy było na czasie powstanie roku 1830? — Zdanie Alfonsa de Lamartine. — Wzmianki o księciu Czartoryskim, generałach: Chłopickim, Skrzyneckim, Prądzyńskim, Chrzanowskim, Krukowieckim, Bemie, Szembeku, pułkowniku Zielonce, Lelewelu. — Czy właściwym był projekt wkroczenia do Litwy? — Treściwy przebieg wojny r. 1831 oraz dowodzenia, że Polska mogła Rossyan zwyciężyć.

Dziś, kiedy te karty mych wspomnień odczytuję, pozwalam sobie uogólnić wypadki owych czasów i wypowiedzieć o nich zdanie. Łatwem ono jest do sformułowania, po następstwach, jakie one wywołały. Nie wątpię nawet, że będzie ono przeciwnem niejednej opinii, oddaję je jednak pod sąd opinii publicznej, a ten, jeśli jest błędnem, niech je sprostuje. Zapiszę więc tu, jakie mam przekonania

Przypominając, że od rewolucyi polskiej r. 1830 upłynęło już lat pięćdziesiąt dwa; że dziewięćdziesiąt pięć setnych ludzi, którzy na nią patrzyli i w niej czynnymi byli, już się do grobu pokładło: że dziś z zimnem zastanowieniem możemy rozważać stan kraju od r. 1815 do włącznie 1830: że ostygło nakoniec to wrzenie krwi i umysłu, pod których naciskiem podnieśli rewolucyą ci, którzy pragnęli wywalczyć większe dla kraju przywileje — przedewszystkiem zadaję sobie pytanie: czy należało podnieść powstanie dnia 29. Listopada, lub nie?

Były to czasy tajnych towarzystw i spisków politycznych; sieć ich pokrywała Włochy, całe Niemcy, Francyę — sama nawet Rossya nie pozostawała w tyle, nie dziw więc, że się one w Polsce zawiązywały, naśladowanie leży w naturze ludzkiej. Koalicya obaliła potęgę Napoleona siłami ludów, którym wiele za krew przelaną obiecywano, lecz nic nie udzielono. Przed laty czytałem gdzieś, iż nawet ów „wściekły“, jak go nazywano, Blücher, gdy się dopominał u króla pruskiego ziszczenia jego przyrzeczeń, a ten mu odmówił, nieukontentowany wydalił się z czynnej służby i umarł w zaciszu domowem.

Ucichły tryumfy zwycięzców Francyi, nacieszono się festynami, uregulowano osobiste interesy panujących, nakreślono nowe granice krajom, bez względu na narodowości; odwieczne nawyknienia i zwyczaje ich ludności. Wszystko zdziałano dla władzców świata, nic dla pomyślności ludów. Za pośrednictwem żadnego organu nie miały one prawa, przedstawiać rządom swe życzenia i potrzeby. Prasa wszędzie uciśniona i pod surową cenzurą pozostająca. Rządy konserwatywne, opierające się na sile, odwiecznej samowoli, solidarnością z sobą połączone. Handel nie protegowany, ograniczony i uciążony cłami i przywilejami mnóstwa państw i państewek w Europie. Wiekowe prawa nikogo zadowolić nie mogące. Wychowanie publiczne nietylko zaniedbane, ale ciągle wstecz się cofające. Przywileje szlachty niewzruszone i nad wszystkiemi innemi klasami górujące. Stan średni już myślący, skazany na milczenie. Centralizacya wszędzie — samorządu żadnego. Municypalności rządzone z góry, gminy bez wiadomości o swych siłach i że są podporą krajów. Nie wolno było mówić, co się myśli, bo tajne policye wszędzie nasłuchiwały. Ludy płaciły podatki, rządy bez kontroli rozrzucały fundusze. Siła panowała wszędzie, a ta nagradzała pomoc jej daną: pieniędzmi, orderami, znaczeniem, tytułami.

Właśnie uczy historya: „Spólnicy świętego przymierza, nie potrzebując już pomocy ludów, oświadczyli się w Karlsbadzie na swym zjeździe r. 1819. za cofnięciem zaręczeń ludom danych w r. 1813. Wszelkie odmiany — powtórzyli 21. maja r. 1821 — iść powinny z woli tych, w których ręku Bóg wraz z odpowiedzialnością złożył najwyższą władzę. — Ci, którzy posiali burze, którzy na Kongresie Wiedeńskim, dzieląc się narodami, jak trzodą, a potem gwałcąc najświętsze prawa, przecząc najuroczystsze zapewnienia, gotowali domowe i zewnętrzne wojny — przybierali teraz charakter ścisłych stróżów porządku i prawa, wyłącznych konserwatorów przywłaszczeń swoich. Wypowiadali walkę tym, których zwiedli, burzycielom porządku, rewolucyonistom. Brali się do karania tego, jako zbrodnie, co niedawno cnotą nazywali.“

Wszystkie te jednak ludy i kraje, tyle uciśnione, z biegiem czasu cierpliwością, okazaniem sił swoich i wyczekiwaniem w niespełna pół wieku zdobyły sobie wiele ustąpień. Widzimy wszędzie postęp jaśniejący, ciemność dawna niknie — a chociaż jeszcze nie doszła ludzkość do zenitu swych życzeń, wyznajmy, że jest na ich drodze.

Polacy byli w wyjątkowem położeniu. Ojczyzna ich rozdarta w kawały, pomiędzy trzy potężne mocarstwa graniczne, mimo usiłowań jej synów od r. 1794, nie zdołała wywalczyć sobie niepodległości: ale ich poświęcenia, krew za tę sprawę tak hojnie przelana, niesprawiedliwość rozbioru kraju, nikogo niezaczepiającego, historyczne kraju zasługi — wzbudziły wszędzie współczucie, nawet w zimnych sercach dyplomatów Kongresu Wiedeńskiego.

Cesarz Aleksander chciał posiąść całą Polskę. — Nie mogły się zgodzić na to powiększenie, tyle już strasznego kolosu północnego inne potencye, dbające jeszcze o system równowagi europejskiej. Przyjaciele dotąd i sprzymierzeńcy, poróżnili się wkońcu o podział tej wielkiej zdobyczy, o mało co nie przyszło do nowej wojny. Ustąpił Aleksander pod grozą kojarzącej się koalicyi przeciw sobie — poprzestawał na dawnych zaborach i części Księstwa Warszawskiego, zamieniając takowe na Królestwo Polskie, z przybraniem dla siebie tytułu króla. Dlaczego?... dlatego — ile domniemywać można — że tym tytułem wywoływał oczywistą atrakcyę tych dawnych prowincyj polskich, które dostały się Austryi i Prusom. Jaśniej mówiąc: wyciągał po nie swe ręce. Ale ta atrakcya mocniej jeszcze przyciągała, gdy za zgodą jego Kongres Wiedeński postanowił, by nowe Królestwo Polskie konstytucyą rządzone było, jakiej nie używały wówczas jeszcze ani cała Austrya, ani Prusy, tem mniej prowincye polskie im przyznane. Czyż nie pamiętamy my współcześni, że, nie zazdroszcząc nam, nasi bracia z za Prosny, Bugu, Niemna i z Galicyi, szczęśliwymi nas być uważali, jako używających narodowego języka, samorządu, instytucyj, wojska i godeł narodowych?

Przyznać należy, że polityka cesarza Aleksandra była zręczną, rozległe widoki na przyszłość posiadającą. Mogły one być spełnione, z obustronnemi korzyściami Polski i państwa rossyjskiego. Stanęła na przeszkodzie niecierpliwość nasza, a więcej nieumiejętność cesarza i jego następcy, Mikołaja, w prowadzeniu jednoczesnem rządów samowładnych w cesarstwie a konstytucyjnych u nas.

O artykule Kongresu Wiedeńskiego, stanowiącym Królestwo Polskie r. 1815, już nieco wspomniałem. Nie będę rozbierał, czy ów Kongres i pełnomocnicy obradujących mocarstw nacisk w tym względzie wywarli, aby Królestwo to konstytucyjnie rządzone było, czyli też przeciwnie, cesarz Aleksander sam tę swą wolę wypowiedział. Czy tak jest, czy inaczej — gdy historya nam tej okoliczności nie wyjaśnia, pozwalam sobie twierdzić, że w gruncie

rzeczy Kongres w zasadzie przyjął jedynie deklaracyę cesarza Aleksandra i tę jako obowiązkową do swego protokołu zapisał. Jasnem jest wszakże wyrażenie: „że Królestwo to używać będzie oddzielnego rządu — oraz, że ma łączność z Rossyą, jedynie przez posiadanie jego w osobie panujących monarchów rossyjskich". Dalej: Udzielenie Królestwu „rozciągłości (extensité) wewnętrznej", którą cesarz za potrzebną uważać będzie (Convenable), Kongres wyraźnie zostawił jego woli. Tymczasem my Polacy rozumiemy, że: Aleksander zobowiązał się nadać Polsce konstytucyę, a w obietnicy nadania jej potrzebnej „rozciągłości", chcieliśmy widzieć przyłączenie do niej zaborów r. 1772.

I to mogło nastąpić, jeśli damy wiarę poświadczeniom ludzi wielkiej powagi, ludziom na naszej ziemi zrodzonym i dobrze jej życzącym.

Jednakże, jeżeli taką interpretacye artykułu Kongresu przyjmiemy, przyjdziemy do wniosku, że wyrażenia się jego, w wysokim dyplomatycznym języku i wysłowieniu skreślone, otwierały cesarzowi rossyjskiemu szerokie furtki do wyjścia na wsze strony: że silniejszy, mógł je sobie tłómaczyć według upodobania a w konkluzyi ów artykuł był martwą litera, a my Polacy, mieszkańcy Królestwa, pozostawieni na łasce lub niełasce cesarza.

Konstytucya nasza obiecana i jak bądź wykonywana od roku 1815 do włącznie 1830, upadła z nocą 29. listopada, a jak widzieliśmy, nikt o rozdarcie artykułu Kongresu, nas dotyczącego, nie upomniał się, pod wygodną zasadą nieinterwencyi, to jest nie mieszania się do interesów państw obcych.

Błądzić w mem zdaniu mogę — ale, jeśli ono jest racyonalne, jeśli nasi mężowie stanu z przed r. 1831 tak sobie tłómaczyć mogli artykuł tyle razy wymienionego Kongresu, powinni byli być więcej umiarkowani w okazywaniu opozycyi, acz legalnej, w Sejmach. — Należało pomijać ucisk, wprawdzie wielki, W. Księcia Konstantego i jego koryfeuszów, a w tej burzy przejściowej trzymać się silnie rudla nawy narodowej, chociaż burza ta jeden maszt lub dwa z pokładu jej zerwała. Z niejakim nawet naciskiem dodam jeszcze: lekkośmy sobie traktowali akt koronacyjny cesarza Mikołaja na króla polskiego, nie gdzie indziej, lecz w Warszawie spełniony — ja go zaś uważam za nowe przyznanie i utwierdzenie autonomii, odrębności nawet Królestwa Polskiego od cesarstwa. Izby sejmowe bynajmniej nie występowały z wnioskiem tego obrzędu dotyczącym: wyszedł on z wyraźnej i samo-

dzielnej woli tego monarchy, a miał bardzo rozległe polityczne cele.

Mieliśmy rząd własny, skarb, Senat, Radę stanu, Izby poselskie, wojsko narodowe. Sejmy nasze posiadały atrybucye podawania wniosków do tronu, wyłuszczających potrzeby kraju. Król nawzajem projekty do praw, przez się obmyślanych, pod debaty Sejmu oddawał — z tych pierwsze: jeśliby na czasie zatwierdzone nie były, może przy cierpliwości dałyby się w przyszłości przeprowadzić. Cesarz Mikołaj był autokratą w swem dziedzicznem państwie, u nas był królem konstytucyjnym, musiał więc posiadać dwoistą naturę, myśl, słowo i postępowanie. Nie wdrożył się jeszcze w te podwójne, a tyle sprzeczne z sobą obowiązki. My też początkującymi byliśmy uczniami, po tylu latach upadku ojczyzny, na drogach parlamentarnych. Czas, ten wielki motor i nauczyciel, możeby wszystko do równowagi doprowadził. Toż samo można zastosować i do W. Księcia Konstantego. Już był nieco złagodniał, lubo go podbudzali zawsze Nowosilcow, Morenhejm i inni — a wyznajmy z boleścią i ze wstydem, że i wysoko położeni Polacy, których tu nie wymieniam, byli mu więcej jak służałcami. Wielki Książę nie był nieśmiertelnym, z doczesnem jego życiem możeby się wszystko odmieniło. W cierpliwości, w takcie, w zmyśle politycznym i przeczekaniu tych lat nieszczęśliwych, leżało zdaje się nasze zbawienie i ziszczenie wielu nadziei. Rozpatrzmy, co sobie od lat już wielu zdobyła nasza Galicya, Węgry i Czechy, pod rządem austryackim — a przecież swobodami, nam w Królestwie nadanemi, wyprzedziliśmy te kraje o lat sześćdziesiąt kilka.

Nie przeczę, że łamano w wielu głównych punktach Kartę konstytucyjną, ale któryż władzca nie łamał podobnego kontraktu, z ludami swymi zawartego? Monarchowie są ludźmi; postawieni tak wysoko, chcą mieć swoją wolę, drażni ich opozycya; my małuczcy za ostro z nią występowaliśmy. Sejmy nasze zaczęły przybierać, jeśli nie zupełnie, to w przybliżeniu przynajmniej postawę historycznych dawnych obrad Sejmów Rzeczypospolitej. W każdym parlamencie, zdobycie popularności u tłumów, idzie za wygłoszeniem śmiałego słowa przez mowcę — galerye przyklaskują. Jest w tym cel dwojaki: głośnym być w narodzie, lub oczekiwać aż rząd zamknie usta datkiem, stopniem lub znaczeniem. Za tymi brudnymi widokami posłowie nasi wprawdzie się nie ubiegali, ale mocno grzeszyli swemi mowami. To co nam z dyaryuszów sej-

mowych pozostało, chociaż nie wszystko w nich zamieszczono, daje tego jawne dowody.

Pamiętajmy, przypomnijmy sobie, że cesarz Aleksander nadał Królestwu Polskiemu konstytucyę, ale jego następca, Mikołaj. koronował się na króla naszego, spełnił więc najwyższy akt zaręczenia z swej strony, zaprzysięgając przy tej koronacyi, wobec reprezentantów narodu, wobec Boga i świata całego, dotrzymanie warunków tejże konstytucyi. Czyż to nie była dostateczna gwarancya? Ministrowie nasi niekonstytucyjnie postępowali. mianowicie książę Lubecki, skarbem i finansami zarządzający, ale mimo niektórych ich w czynach samowładności, mimo wielu fiskalnych nadużyć, w gruncie dobro kraju mających na celu, dobrobyt jego widocznie i prędko się podnosił.

Owoż z powodu ucisków policyjno-politycznych Wielkiego Księcia Konstantego, dotykających jedynie gorącą młodzież: z przyczyny niejakich pogwałceń Karty konstytucyjnej; niedopuszczenia do obrad Sejmu koronacyjnego jednego z posłów opozycyjnych, który podpisał deklaracyę niestawienia się na nim, a mimo tego chciał w nim uczestniczyć: skasowania jawności obrad sejmowych, którego to projektu myśl nie wyszła zkąd inąd, lecz z naszej Rady stanu, co wszystko, prawdę mówiąc, dotykało jedynie stolicę, Senat i Izby sejmowe — podnieśliśmy rewolucyę 29. listopada, kiedy kraj cały rósł w zamożność i dobrobyt. kiedy rozwijały się wszędzie jego prace produkcyjne.

Dziś, po tylu ubiegłych latach. po skutkach. jakie nastąpiły — przed Bogiem, własnem sumieniem i przed mymi rodakami wypowiem me przekonanie, że niewczesnem było nasze powstanie r. 1830.

Nieskończenie wyższą była wonczas Rossya od nas swą siłą materyalną; my znów przodowaliśmy nad nią ogólną naszą inteligencyą. Moralny punkt jej ciążenia był u nas; przez nasze to ziemie szła dla niej droga do ucywilizowanej Europy. Ocieranie się więc Rossyan o Polskę konstytucyjną, przodującą całej Słowiańszczyźnie zdolnościami umysłowemi, zbawienne tylko skutki na nich wywierać mogło. Królestwo Polskie, rządzone konstytucyą, prawami osłaniającemi osobisty honor każdego mieszkańca, jego mienie, religią, społeczne stanowisko, posiadające reprezentacyą narodową — nie brudną zazdrość. ale spokojne dążenie do uzyskania podobnych przywilejów. wzbudzać w Rossyanach było powinno. Rewolucyą naszą zatraciliśmy ojczyznę — została nam

tylko chwała szczytnego i zadziwiającego oporu przeciw silniejszemu — ale z jej zgnębieniem i Rossya na długie lata, bo po dziś dzień, stanęła na drodze wielkich swych przeznaczeń.

Gdzie się wykłuł zamiar podniesienia naszej rewolucyi?... W rozpalonych głowach kilkudziesięciu młodzieży wojskowej i cywilnej: kilku oficerów najniższych stopni, dwóch członków Sejmu: Zwierkowskiego i Lelewela. Byliż oni pełnomocnikami narodu?... Nie! uczniowie Uniwersytetu, do spisku należący, rozwinąć go skutecznie nie mogli bez siły zbrojnej, bez Szkoły podchorążych — ci mieli w ręku broń, w piersiach energię i odwagę. Spisek rozszerzał się przeważnie między wojskowymi; dumnie oni nosili swe znaki oficerskie, ale trwały pokój zatrzymywał ich długo w niskich stopniach, należało na awans wyczekiwać lat sześć i więcej. Wojskowy zawsze i wszędzie żąda sławy, honorów i awansów — u nas to wszystko było zamknięte — mieliśmy podporuczników, liczących lat trzydzieści wieku. I sądzę, że gdyby Wielki Książę Konstanty, zgodził się był z życzeniem brata i cesarza, wysłał wojsko polskie na wojnę turecką lat 1828 i 1829, gdyby temu ciału apoplektycznemu dobrze krwi upuszczono, gdyby starzy dowódzcy, wiekiem obarczeni, dla samej niemożności odbywania tej kampanii usunęli się i otworzyli młodszym a silniejszym wakanse, ruch ten, nużące marsze, widok obcych krajów, zdobyta sława, odznaczenie się, stopnie, krzyże, jeśliby nie wykorzeniły zupełnie z umysłów zamiaru powstania, to przynajmniej dokonanie jego na długie lata odroczyćby zdołały, a może i na zawsze, bo czas, jak wiadomo, zmienia najsilniejsze postanowienia.

Jakby wieszczym duchem cesarz Aleksander I. przewidywał nasze powstanie w r. 1815. Chciał, by wojsko polskie składało się jedynie z 24.000 ułanów, bez artyleryi, korpusu inżynierów, etc. Wielki Książę Konstanty chciał się bawić w organizacyę wojska wszelkiej broni i stało się, czegośmy doczekali w piętnaście lat później. Dodam, że wojna, wypowiedziana przez Rossyą Austryi, Prusom lub Turcyi, była u nas jedynie popularną i na nią wojsko polskie ochoczo by poszło. Któż zresztą dziś przewidzieć może, czy za niezawodne zasługi tego wojska, w wojnie z Turcyą położone, cesarz Mikołaj nieczułby się w obowiązku przyzwolić na ściślejsze wykonywanie konstytucyi krajowi nadanej?... Czy nie spełniłby obietnicy swego poprzednika, przyłączając do Królestwa Litwę i zabrane prowincye?...

Rewolucya wybuchła. Wielki Książę Konstanty nie śmiał jej czoła stawić. Wzięli jej kierunek ojcowie narodu. Widzieliśmy,

w jakim duchu odezwali się do niego, w pierwszej proklamacyi, datowanej 30. listopada. Uniósł ich na tę chwilę nieprzełamany prąd wojska i ludności Warszawy, która za niem poszła, a nawet krew przelana na jej ulicach. Ale gdybym mógł zajrzeć w ich serca i umysły podówczas, przekonałbym się, że podjęli tę sprawę, by ocalić z jej wyniku co się da uratować. Podjęli ją, jak ten, co staje do walki sam przeciw wielu przeciwnikom i życie swe przedaje dla ocalenia honoru. Tak też uczuwali i wyżsi nasi dowódzcy. — Nie pierwszy to raz dobywali swych pałaszy za sprawę narodową, honor im nakazywał raz ostatni z pochew je wyciągnąć. Bili się mężnie, nadstawiali swe piersi, ginęli na pobojowiskach z przyznaną im sławą w wojsku i narodzie, ale bili się bez przekonania i nadziei!... Wojskowe ich doświadczenie nie pozwalało im wierzyć, by siłami, czerpanemi z czteromilionowego Królestwa, mogli zwyciężyć olbrzyma Północy. Może ufali nieco interwencyi Francyi, ale Francya była daleko. Rzuciliśmy się więc w przepaść. Honor wojskowy, honor narodu w tej nierównej walce został ocalony — ale „matka - ojczyzna wstąpiła do grobu bodaj czy nie ostatecznie!...

Na poparcie mego zdania, tak śmiało tu przytoczonego, dołączam w ścisłem tłómaczeniu ustęp z listu pisanego w dniu 25. października 1831, a przeto zaraz po stłumieniu rewolucyi naszej, przez sławnego autora francuskiego, Alfonsa de Lamartine, do redaktora „Głównego Przeglądu Europejskiego“, w rozbiorze polityki racyonalnej i obowiązkach rządów względem rządzonych przez nie ludów. (Dzieła Lamartina, wydanie brukselskie r. 1844, stronica 785).

„Co do Polski — szczytnemi były jej żądania wskrzeszenia swej narodowości, która nigdy wygasnąć nie może i również bohaterska reklama praw przez Europę pogwałconych. Francya, nieprzeszkadzająca jej rozbiorowi w dawnych czasach, nic nie zyskująca z jej rozszarpania, miała obowiązek jej krwią swój dług wypłacić — tem więcej uznać usiłowania w wywalczeniu niepodległości. Wolno jest zawsze narodom odżyć, bo zbrodnie polityczne nie są prawem dla ofiar tego rodzaju. Nie ma też przedawnienia dla ludu, który chce i może wyjść z tymczasowej, a narzuconej mu niewoli. Lecz jeśli w sumieniu Francyi leżał obowiązek wdzięczności i pomocy dla Polski, miała ona prawo i słuszność wybrać do tego odwetu czas i godzinę. Ogólna i narodowa jej sympatya dla bohaterskiej Polski, nie narzucała jej jednak nierozsądnej konieczności rzucenia się ślepo w ogólne nieporozumienia z ościen-

nemi państwami. Rządy są opiekunami rządzonych ludów, a w tych obowiązkach władne są stłumić na razie najszczytniejsze swe współczucia uwielbienia i litości. Chwila powstania polskiego nie odpowiadała interesowi Francyi, zaledwie organizującej się po rewolucyi lipcowej r. 1830. Czy mogła być ta sprawa podjętą przez rząd jej chwiejący się jeszcze na swych niepewnych podstawach?... Tu jest właśnie kwestya. My Francuzi nie mogliśmy jej rozwiązać, bo rząd sam tylko posiada środki działania w swem rozporządzeniu. Prawo takie jest najwyższą siłą! uwielbienie zaś i współczucie są tylko bodźcami w takich razach. Wojny za takie uczucia prowadzone, są najwięcej bohaterskiemi. Były takiemi wojny krzyżowe, powstanie Wandei, opór Hiszpanii przeciwko Napoleonowi. Widzieliśmy ludy wybijające się pod mniej wrażliwemi sympatyami, jakich Polska używała; ale biorąc na uwagę skutki, następstwa i opinię polityczną, którą wywołała rewolucya lipcowa — a tem samem zadanie odpowiedzialności rządu francuskiego wobec interesu rządzonego przezeń kraju — Polska może źle wybrała dzień swego zbrojnego powstania... rok wprzódy, trzy lata później... cała Europa podjęłaby jej sprawę i zwyciężyłaby!"

Zdania te życzliwego nam Lamartina, nacechowane są — jak mniemam — zdrową i gruntowną polityką. Nie mogła nam przyjść z pomocą Francya w owym czasie. Rok wcześniej... trzy lata później... pisze on, niechby wybuchło powstanie polskie. I prawda!... rok wprzódy, była to wojna z Turcyą, wyczerpująca wszystkie siły Rossyi. Trzy lata później, rząd francuski, wzmocniony na swych podstawach, nie odmówiłby nam swej interwencyi. Pamiętajmy, że zrzucony z tronu Karol X, w owym powszechnym pokoju środkowych państw Europy, zostawił Francyę z wojskiem, nie liczącem stu tysięcy żołnierza i z finansami prawie zrujnowanemi.

Przejdę teraz do skreślenia charakterów i działań niektórych osobistości, na widowni naszej rewolucyi stojących.

Generał Chłopicki — to bożyszcze wojska, ulubieniec narodu, chowający się w pierwszych dniach powstania; ogłosił się dyktatorem 5. grudnia 1830 roku — mówię: ogłosił się sam, bo inną władzę, więcej ograniczoną mu oddawano, a na tem stanowisku chwycił nie tylko dowództwo wojsk naszych, ale i rządy kraju. Umysłem jego dzielnym i energicznym na polach dawnych bitew, owładnął natychmiast książę Lubecki, minister skarbu i stał się jego

kierownikiem, wlał wen niewiarę w podniesioną sprawę. To przypuszczenie dowodzi proklamacya Chłopickiego z dnia 8. grudnia, już wyżej przytoczona, a odwołująca się do „serca króla, który nie może uznać, gdy się dowie, jak go zwodzono.“ Te słowa publicznej odezwy przekonywują, że dyktator nie miał zamiaru zrywać z cesarzem Mikołajem. Popiera to twierdzenie wysłanie Lubeckiego i Jezierskiego do Petersburga, w zamiarze złożenia cesarzowi sprawozdania z położenia rzeczy. Zręcznym tym manewrem i namową dyktatora, Lubecki unikał dalszego kompromitowania się przed Mikołajem, unikał również osobistych niebezpieczeństw, bo w stolicy naszej i w kraju wcale popularnym nie był. Wysłańcy ci, mieli tłómaczyć Chłopickiego z faktu pochwycenia władzy, „aby nie stała się pastwą ludzi burzliwych i niespokojnych“.

Postąpienie to ulega najsurowszej krytyce z tego względu, że po zabójstwie tylu generałów polskich, aresztowaniu schwytanych rossyjskich, targnięciu się na życie brata cesarskiego w Belwederze — stanowcze zerwanie z Rossyą już niejako nastąpiło, a tem samem porozumienie się z „królem“ było już niepodobne, bo ów król pragnąłby odwetu i srogiej kary za targnięcie się na swych zwolenników i swą władzę. Rewolucya, podniesiona w zamiarze odzyskania niepodległości Polski, nie była uliczną swawolą — był to akt szczytny, jak go pojmowali spiskowi, nie dający się stłumić żadnymi układami. Wstrzymanie zaś ruchu wojskowego, do którego cała ludność Warszawy tak chętnie się przyłączyła, który, jak się spodziewać należało, przyjmie cały naród — było prostem zaparciem się jego głównej zasady, boć cesarz i król na ową niepodległość zgodzić się nie mógł. Jasnem było przewidywanie, że praw swoich dochodzić będzie siłą, przeciwko której również siłę postawić należało.

Nie zdołali na razie pojąć ducha naszej rewolucyi ci, którzy, powodowani chęcią zatamowania tego burzliwego potoku, zamierzali go zwrócić w naturalne jego łożysko. Przyznać należy, że ciemne były tym ludziom przedstawiające się drogi; nie owładnąć tym ruchem — mogła nastąpić anarchia a może i terroryzm; wziąć jego kierunek bez wiary w powodzenie — równym było grzechem. Należało więc pójść z prądem niespodziewanego wypadku, bez oglądania się na skutki i następstwa — przyjąć godło: „być, albo nie być!...“

Te wahania się kierowników rewolucyi powodowały, że pozwolono cofnąć się z pod Warszawy Wielkiemu Księciu Konstan-

temu z jego wojskiem, które mogło i powinno było być wzięte. Chłopicki zaniechał szybkiego uzbrojenia narodu, a jeśli wydał w tym względzie jakowe rozkazy, to jedynie naglony opinią publiczną.

Że nie wierzył w siły powstania, że ani myślał o wyprawie na Litwę, że ciągle się oglądał na układy z cesarzem Mikołajem, dowód w tem smutnem jego wyznaniu, złożonem 17. grudnia przed deputacyą sejmową, której powiedział: „że wojska na oczywiste jatki nie powiedzie i przysiędze, wykonanej cesarzowi, wiernym pozostanie“.

Obdarzony nieograniczonem zaufaniem narodu i wojska, mógł być jedynym przewodnikiem powstania. Ale go nie rozumiał, w nie nie wierzył. Nie zatajać więc, jak to uczyniono, lecz natychmiast ogłosić należało to jego wiary wyznanie. Urok, jaki wywierał, upadłby natychmiast, a sprawa by na tem zyskała. Usunął się też niedługo... odepchnął nieśmiertelną sławę, jaką mógł zdobyć; tymczasem wojsko i naród, nie wtajemniczone w jego powody, przypisywało błędnie to oddalenie się kabałom Rządu narodowego i Izb sejmowych. Nie skąpił wprawdzie swej krwi, broniąc Olszyny w bitwie 25. lutego, na którą, gdy szedł, wyraził się w swem otoczeniu: „trzeba się jeszcze raz porządnie wytrzepać“ — ale w dziwactwie swojem, szedł na czele wojska, jak opowiadano, w cywilnem ubraniu. Nakoniec znając swą wyższość nad księciem Michałem Radziwiłłem, któremu tylko w ostateczności Rząd narodowy dowództwo wojska powierzył, nie przedsięwziął środków, by podwładni dowódzcy jego również rozkazom posłuszni byli. Dlatego to generał Krukowiecki w bitwie, jak wyżej, nie poparł Rossyan należycie pod Białołęką, dumnie wysłanemu adjutantowi odpowiedział: „że rozkazom generała w cywilnym surducie ubranego, posłusznym nie będzie“. Dla tego też generał Łubieński z naszego lewego skrzydła, nie poszedł z jazdą do ataku, na zgromionego już nieprzyjaciela. Rozważając wreszcie pojedyncze pretensye naszych generałów i ich nawyknienia do uległości tylko wyższej woli, mam przekonanie, iż przed jednym tylko Chłopickim, jako naczelnym wodzem, uchylili by czoła z posłuszeństwem.

Chłopickiego widziałem raz ostatni w r. 1837 w Krakowie, w ogrodzie Strzeleckim. Siedmdziesięcioletni starzec wyglądał czerstwo, głowę wysoko trzymał i zachował to głębokie spojrzenie, które go zawsze odznaczało. Poznałem go natychmiast — przywitałem się z kilku osobami z jego otoczenia, spojrzał na mnie

swym orlim wzrokiem, a gdym odszedł bez przedstawienia mu się, spytał: „kto to jest?...“ Na otrzymaną odpowiedź wyrzekł tylko jedno krótkie: „Aaa!...“ W Krakowie utrzymywał się dostatnio, ale bez zbytku — chodził jadać do restauracyi pod różą i tam go zawsze Galicyanie otaczali. Ognisty i namiętny we wszystkiem, grał w karty prawie zapamiętale. Dziwak do końca życia, umierając, jak mnie zapewniano, rozkazał do śmiertelnego swego ubrania przypiąć krzyż francuski Legii honorowej. Krzyż polski, również chwalebnie zasłużony, odrzucił. Karyera jego wojskowa, była jedną z najświetniejszych. Odbywał wojnę w Hiszpanii pod marszałkiem Suchet, jako szef batalionu a później pułkownik; długi czas służył w wojsku francuskiem. Ciągle wspominanego w raportach marszałka, Napoleon, za przybyciem swojem do Hiszpanii, kazał go sobie przedstawić. Zobaczył ogromnego mężczyznę, a w nim zuchwałego tylko nieporównanem męstwem żołnierza, nic więcej; polecił mu wypłacić 20.000 franków, wysłał do Paryża, by się ogładził, później posunął na generała, nadał mu wreszcie tytuł barona państwa francuskiego i wielce go cenił — szczegóły te posiadam z opowiadania starych naszych wojskowych.

Książę Adam Czartoryski, potomek naszych Jagiellonów, wzór cnót obywatelskich, pan przeszło pięćdziesięciomilionowej fortuny, sypiący swymi dostatkami na wychowanie i kształcenie młodzieży polskiej. Fundator szkół powiatowych w dobrach swoich, Międzyborzu na Podolu, które utrzymywał własnym kosztem, protektor Liceum krzemienieckiego — nie zrażał się ciągłem odsuwaniem go od spraw publicznych za czasów Księstwa Warszawskiego za to, że był przyjacielem cesarza Aleksandra I-go, za rozmarzonej jeszcze filantropią jego młodości, a później ministrem spraw zagranicznych cesarstwa; usiłując wszelkiemi siłami na Kongresie Wiedeńskim utrzymać sprawę polską, nie zrażał się również późniejszą obojętnością, okazywaną mu przez cara Aleksandra jako króla polskiego — owszem: odwołując się do dawnych z nim swych stosunków, w listach mu przesłanych, przedstawiał ciągle potrzeby kraju, przypominał mu dane obietnice a niespełnione.

Gdy nadszedł dzień ostatecznego poświęcenia, mąż ten, pełen politycznego rozumu i przenikliwości, znający gruntownie politykę trzech monarchów świętem przymierzem związanych, nie zawahał się ani na chwilę i przyjął spełnioną rewolucyę 29. listopada za narodową i własną. Stanął na jej czele, jako prezes Rządu. On, nie wojskowy, kiedy na radach rządowo-wojennych

dowódzcy nasi nachylali swe zdania do układów z cesarzem, przenikając, że te nigdy żadnego nie wezmą skutku, tem mniej dotrzymane będą, zagrzewał swą mową wątpiących. Już dosłownie zacytowałem jego przemówienie, gdy obwołany został prezesem Rządu — a należało go postawić na tak wysokiem stanowisku, aby przekonać świat polityczny, że rewolucya nasza nie dąży do anarchii, lecz uszanuje społeczny bieg spraw wszelkich. W tem to przemówieniu wskazywał obrońcom kraju niebezpieczeństwa mu grożące, ale i upominał, aby pod ich gromami nigdy nie upadali. On to po bitwie ostrołęckiej, zrozpaczonego Skrzyneckiego podniósł, podsuwając jeszcze niejakie nadzieje. On przemawiał do ostatniej chwili, za wytrwałością i bojem, bo domyślając się, że sprawa na zagubę jest skazaną, chciał przynajmniej honor narodu ocalić i pokazać światu, że godni byliśmy lepszych losów. Podjął rękawicę, jaką młodzież nasza rzuciła cesarzowi — nie przyjął korony, jaką mu ofiarowano, oświadczając, że „Jagiellonowie już wszystko, co mieli, oddali ojczyźnie“. Kto zgłębi wielki charakter tego męża, ten powie ze mną: był to ostatni magnat polski!... Skończył życie na wygnaniu!

Książę był wzrostu dość wysokiego — oblicze wielkiej powagi, krasił dobrotliwy uśmiech — miał wysokie, mądre i myślące czoło — włosy i oczy ciemne, nos ściągły — chodził wolno — wymowę ustną i pod piórem, posiadał znakomitą — pamięć obszerną — naukę nadzwyczajnie rozległą, tę też protegował wszelkiemi siłami i swą możnością.

Jan Skrzynecki — dowódzca 8-go pułku piechoty liniowej przed r. 1831. Kawaler krzyża wojskowego polskiego, urzędnik Legii honorowej francuskiej, człowiek honoru, naukowy, nie narzucający się jak inni W. Księciu Konstantemu W pierwszych początkach naszej wojny, odznaczał się swemi manewrami, po wejściu wojsk rossyjskich do kraju i w bitwie swej dywizyi pod Dobrem. Gładki redaktor biuletynów wojennych, pozornie zimny i w sobie zamknięty. W nocy z dnia 25 na 26. lutego po bitwie pod Grochowem, powodowany natchnieniem, wymownem słowem krytykował błędy w jej prowadzeniu, wobec zgromadzonego Rządu i Izb sejmowych. Chciano w nim widzieć obok zdolności wojskowych, siłę ducha i energię. Obrany naczelnym wodzem, strawił się pod wrażeniem tak wysokiego stanowiska. Chwalono mu to, że zaraz na wstępie powołał do sztabu głównego: Chrzanowskiego, Prądzyńskiego i Kołaczkowskiego. Wyprawa wielko-czwartkowa i zniszczenie korpusów Rosena i Gejsmara, uświetniły jego imię —

zdobyte trofea zyskały mu podziękowanie Sejmu, krzyż komandorski polski, wdzięczność narodu, ufność wojska. Błędy jego późniejsze już wytknąłem: mógł zdobyć Siedlce i magazyny tam przez Rossyan nagromadzone, następnie bić ich nieprzestannie, znieść zupełnie gwardye, inaczej poprowadzić bitwę ostrołęcką. Zamiast iść osobiście na Rüdigera, podnieść znów swe zasługi i sprawę, powierzył dowództwo ekspedycyjne korpusu nieudolnemu a nawet podejrzanemu generałowi Jankowskiemu. Nie bronił Paskiewiczowi przeprawy na dolnej Wiśle, pod Ciechocinkiem: dopuścił nakoniec nieprzyjaciół pod same okopy Warszawy, nigdzie ich marszu nie wstrzymując. Oglądał się ciągle na pośrednictwo państw obcych — wdawał się bezpośrednio w korespondencye dyplomatyczne z zagranicą, a kiedy Rząd narodowy mu to postępowanie zganił, pokątnie spiskował na jego skład osobisty i wyrabiał sobie partye na jego obalenie. Podniósł niezgodę i waśnie w sztabie głównym, gdy Chrzanowski i Prądzyński wygadali się, że przeszłe powodzenia były skutkiem ich planów i pomysłów: nie umiał być skromnym, kiedy istotna zasługa nie była po jego stronie, a chwała wykonania zawsze by przy nim pozostała. Nakoniec złożono go z dowództwa. Czemuż nie kilka miesięcy wcześniej?!...

Skończył swą karyerę sromotną i tajemną ucieczką z Warszawy i obozów naszych, przed mściwą ręką, jaka go ścigała!

Rys ten treściwy jest wprawdzie powtórzeniem szczegółowego opisu naszej wojny, ale winienem go był tu zamieścić. Obrazuje on niedołęztwo Skrzyneckiego, który nigdy stopnia prostego generała nie powinien był porzucać. Odpowiedzialności przed światem, przed historyą narodu i własnem sumieniem, pojąć on nie umiał: podjął władzę, by ją zgubić. Wyprawa na gwardye, bitwa ostrołęcka, nie otworzyły mu oczu na własną nieudolność. Chybił wyprawę na Rüdigiera, aby zostać pod Warszawą, aby intrygować przeciw Rządowi i Izbom sejmowym.

Dorzućmy do tego, że wzbił się w niesłychaną dumę, otaczał się książętami i hrabiami, a ci będąc jego adjutantami, schlebiali jego próżności. Jeździł w marszach powozami cesarskimi, w Zamku zabranymi, w cztery i sześć koni — poprzedzał go półszwadron kawaleryi, za nim drugi. Sumy trwonił na utrzymanie swej obozowej kuchni, bo do stołu jego zasiadał cały sztab jego. Pewnego razu, po Radzie wojennej, ojciec mój z innymi generałami, zaproszony był na obiad czy śniadanie do wodza. Zbytek był prawdziwy w przyjęciu, rozmowy głośne i wesołe. Ojciec mil-

czał — ktoś z obecnych go wezwał jako najstarszego, aby przytoczył jedno z tych wspomnień z czasów wojny Kościuszki... Rodzic mój na to odpowiedział, zmarszczywszy czoła: „Posłany byłem przez generała Wodzickiego z raportem do naczelnego wodza po bitwie Racławickiej: zastałem Kościuszkę siedzącego na zydlu przed chłopską chałupą... zajadającego z prostej glinianej miski zrazy z jaglaną kaszą i dostąpiłem tego zaszczytu, że się ze mną tem jadłem podzielił...“ Oniemieli wszyscy.

Kiedy nasz pułk z pułkiem Mazurów, szedł połączyć się z generałem Milbergiem idącym z swym korpusem w Płockie, stanęliśmy na dziedzińcu pałacowym w Jabłonnie dla wytknięcia koniom; w tem dają znać, że Skrzynecki jedzie. Po niedługiej chwili, pędzą przodem Krakusy, za nimi lando odkryte, w niem rozparty wódz z żoną i z jakimś księciem adjutantem; dalej kilka powozów i znów eskorta. Raczył wysiąść z żoną i tu nastąpiła ceremonialna imienna prezentacya pani wodzowej naszych oficerów. Stała nieopodal i gromada włościan, nam się przypatrująca, a jako ciekawa, zbliżała się pomału, aż prawie do nas dotarła. Jeden z adjutantów pyta siwiutkiego chłopka, czy pamięta księcia Józefa Poniatowskiego?... ale tak głośno, żeśmy wszyscy ucichli. Chłopek mówi, że go dobrze pamięta — na to adjutant pochlebca: „Gospodarzu! widzisz tego generała? to taki sam, jak książę Józef“. A starzec: „o nie, panie oficerze!... nasz książę był inny!...“

Czy podobna uwierzyć temu co opowiadano: jakie temu maluczkiemu człowiekowi roiły się po głowie marzenia?... Wiedział on, że Chłopickiemu Izby sejmowe ofiarowały najwyższą władzę. On też chciał być Janem IV.!!

W jakiś czas po naszej wojnie, kiedy Belgia wywalczywszy swą niepodległość, potrzebowała wojskowych organizatorów, z Paryża, gdzie zamieszkiwał, przyjął u niej służbę Skrzynecki z kilkunastu naszymi oficerami. Król Leopold I. przyznał mu stopień generała, ale cesarz Mikołaj dosięgnął ich tam potężną swą ręką. Wydalono wszystkich. Osiadł w Pradze, później w Krakowie i utrzymywał się z pensyi, jaką mu płacił rząd belgijski — nie długo też zmarł.

Nie słyszałem, aby on i Chłopicki zostawili po sobie jakie usprawiedliwienia lub pamiętniki. Był wzrostu średniego — brunet, szczupły, twarz bez wyrazu — zdjąć było z niego mundur i szlify, miał pozór pospolitego człowieka.

Prądzyński Ignacy — jako oficer głównego sztabu, był zdolności niepospolitych. Energii miał mało — na radach wojennych

nie umiał bronić przekonywującą mową swych planów i zdań, chociaż takowe najlepiej były obmyślane.

Bajarz — opowiadał każdemu, co go tylko chciał słuchać, że on jeden zna i pojmuje wyższą taktykę wojenną, on jeden wszystko prowadzi. Ztąd plotki i zazdrości ze strony Skrzyneckiego. Podejrzany jest powrót jego z korpusu Romariny, wtedy, kiedy z nim go wysłano dla dopilnowania ścisłego wykonania danych temuż generałowi instrukcyj. Widzenie się jego z generałem rossyjskim, Dannenbergiem, z którym parlamentował, kiedy Warszawa już ścisnięta została, poddanie się łechtaniu swej ambicyi w tej rozmowie, zaufanie, jakie w nim pokładał generał Krukowiecki, wysyłając go kilkakrotnie do obozów nieprzyjacielskich, zanadto wymowny obraz sił wojsk stolicę oblegających, jaki złożył przed Izbami sejmowemi — na ostatnie jego czyny i postępowanie przed wzięciem Warszawy, smutną rzucają plamę, tem więcej, że nie poszedł za wojskiem do Modlina, ale oddał się Rossyanom. Historya dotąd jeszcze nie wszystko wyjaśniła — zapewne wiele tajemnic zostanie na zawsze nieodsłoniętych. Może i lepiej.

Generał Chrzanowski Wojciech — równie zdolny, ambitny, zarozumiały, uparty, szemrzący ciągle, walczył o lepszą z Prądzyńskim w waśniach ze Skrzyneckim — w końcu stanowczo przeszedł na jego stronę. Z upoważnienia naczelnego wodza i on parlamentował pod Warszawą z Rossyanami i otworzył sobie nieznajome nam drogi, że go nie kto inny przyjął w przednich strażach, tylko generał Tielmann, z którym się był zaprzyjaźnił podczas wojny tureckiej r. 1828/9, bo tę razem odbywali. Rozmowa ta pozostała tajną. To pewna, że od tej chwili Chrzanowski zupełnie stracił wiarę w powodzenie powstania i bluzgał na radach wojennych mniej przyzwoitymi wyrazami, a naszemu wojsku ubliżającymi. Jak Prądzyński, i on nie poszedł z nami do Modlina po kapitulacyi Warszawy.

Generał Jan Krukowiecki. Już w niniejszym pamiętniku wspomniałem o jego intrydze przeciwko generałowi księciu Sułkowskiemu, po bitwie pod Lipskiem w r. 1813. Burzliwego nadzwyczaj charakteru, nie posiadał nigdy miłości swych podwładnych. Długoletnia rutyna wojskowa wyrobiła w nim zdolności do pewnego stopnia. Posiadał męstwo Polakom wrodzone. Dumny, ambitny w najwyższym stopniu, pragnął wszystkich i zawsze wyprzedzać, a w r. 1831 dosięgnąć najwyższej władzy. Kiedy w nocy z dnia 25. na 26. lutego naradzano się, komu naczelne dowództwo wojska powierzyć, bolało go najmocniej, że wybór nie padł na

niego, a po mianowaniu Skrzyneckiego, szorstko się odezwał. że i dobosza słuchać będzie.

Jestem przekonania, że gdyby Krukowiecki w dniu bitwy 25. lutego spełnił swą powinność, wykonał rozkaz przesłany mu przez Chłopickiego. bitwa ta byłaby zupełnie wygraną — a wtenczas okryty chwałą, obrany byłby niezawodnie naczelnym wodzem. Duma jego, żądza wywyższenia się nad innych raz zaspokojona, może by go doprowadziła do wielkich czynów, mianowanie zaś Skrzyneckiego wodzem, prostego pułkownika z przed r. 1830, kiedy on już był generałem dywizyi, wyrodziło w Krukowieckim najsilniejszą zawiść, zazdrość i niechęć.

Odtąd między tymi dwoma ludźmi, rozpoczęła się jawna, cicha i nieprzełamana wojna, oraz zgubny dla sprawy narodowej antagonizm. Nie uważając wreszcie zdania mego za stanowcze, wolałbym widzieć Krukowieckiego naczelnym wodzem, jak Skrzyneckiego; pierwszy więcej energii posiadał; ostry w słowie i czynie, wzbudzałby uszanowanie i posłuszeństwo w innych dowódcach; nie był zresztą takim wygodnisiem, jak Skrzynecki. Charakter, jaki posiadał, niezaspokojona duma, współzawodnictwo ze Skrzyneckim, rzuciły go na pole pokątnych intryg. Zyskał zaufanie i uwielbienie Klubu patryotycznego, bo go szukał, potrzebował, o nie się starał — stawiany też był zawsze na przodzie przez Lelewela.

W pamiętnej nocy 15. sierpnia, mocne jest podejrzenie, że bezpośrednio lub pośrednio kierował ulicznym ruchem, a conajmniej nań pozwalał, kiedy go tej nocy, wśród zaburzeń widziano, kiedy jego obecność była skonstatowana. A tak umiał kierować opinią publiczną, że jemu przypisywano uśmierzenie rozruchów.

Po tyle bezwzględnem obaleniu prezydentury Rządu, sprawowanej przez księcia Czartoryskiego, połączonymi głosami w Izbach reformistów i lelewelistów, wybrany został na prezesa Rządu narodowego. Gubernatorem stolicy mianował generała Chrzanowskiego, który tym razem znów przylgnął do niego. On to wskazał mniej stosowny system obrony Warszawy; on zluzował generała Sierawskiego z załogi szańca Woli, a postawił w nim wprawdzie równie walecznego Sowińskiego z 10. pułkiem nowej piechoty, zostawując w tym najważniejszym punkcie jedynie dziesięć armat i 2.000 żołnierza.

Konferował za pośrednictwem Prądzyńskiego z generałem Dannenbergiem; nadstawiał ucha łudzącym warunkom, na których

wykonanie żadnej gwarancyi ów parlamentarz nie dawał: na radzie Rządu silnie przemawiał za ich przyjęciem.

W samym szturmie Warszawy, Krukowiecki, prezes Rządu, *de facto* wódz naczelny, wojskowy z powołania, nie kierował jej obroną, nie pokazał się na linii bojowej. On to z Chrzanowskim po pierwszym dniu szturmu i wzięciu szańca Woli, postrachem rozpaczliwego położenia chciał doprowadzić Izby sejmowe do oddania miasta Znów użył Prądzyńskiego do rozmowy z nieprzyjacielem — sam konferował z Paskiewiczem. Sam już będąc pełnomocnym do stawienia przedwstępnych układów, zwalał winę na Sejm, że mu nie udzielił właściwego upoważnienia. Wśród tych chwil rozpacznych działał samoistnie, nareszcie bezpośrednio wysłał Prądzyńskiego z listem do cesarza, a w tym poddawał się w imieniu narodu, już bez żadnego warunku, w oczekiwaniu zaś powrotu wysłańca, spokojnie siedział w krześle przed pałacem Rządu — w chwili, gdy Rossyanie, wyprowadzając do boju ostatnie swe rezerwy, drugi szturm przypuścili. Jeszcze druga linia fortyfikacyj miasta zdobytą nie została, a nasze wojska cofały się za most na Pragę... Generał Małachowski, zastępca naczelnego wodza, nie wydał tego rozkazu — o jego wydaniu nie wiedział... Któż go więc wydał?...

Te matactwa skłoniły Rząd narodowy, że złożył Krukowieckiego z urzędu. Istotnie niepojętą jest rzeczą, co w tej epoce wrzało w jego umyśle. Braku honoru wojskowego, przywiązania do kraju, nikt mu zarzucić nie mógł — a tymczasem w owych godzinach nieszczęścia naszego, rozmyślnie pchał do zguby sprawę tak świętą. Zdawałoby się, iż po to sięgał po władzę najwyższą, aby skończyć tę walkę jak najprędzej, chociażby z upodleniem narodu i jego przedstawicieli.

Jakież więc miał powody i widoki do takiego postępowania?... Jeśli mamy wierzyć bardzo upowszechnionej wówczas pogłosce i opinii, działała w nim brudna ambicya. Widział on koniec powstania i wojny — przyspieszyć go, oddać cesarzowi Warszawę, z jak najmniejszym kwi jego żołnierzy rozlewem, by posiąść jego łaskę, ten jeden miał być jego cel i zamiar... a za to... czekał... pożądał... by go mianowano namiestnikiem uspokojonego Królestwa. Czy mu to obiecano?...

Miał świadków swej rozmowy z feldmarszałkiem Paskiewiczem, ale nie zbyt bliskich, by jej osnowę dosłyszeli — miał ich i Prądzyński, gdy był jako parlamentarz wysłany... ale są sposoby na wszystko!...

Broni Krukowieckiego w swem dziele pułkownik Förster, cytuje dokumenta i jego listy. Sam Krukowiecki w nich wyrzuca księciu Czartoryskiemu, że ten przy powadze swego nazwiska i położenia, oraz posiadanych wpływach, nie rehabilitował go w opinii publicznej, wtedy, gdy, jak oświadcza: radził się księcia we wszystkiem i używał jego zaufania. Ale to wyznanie, ta skarga, właśnie go najsilniej pobija. Nadto wiele posiadał uczciwości i honoru książę, aby w tym razie mogąc, nie przyszedł niewinnemu z obroną. Milczenie jego aż do zgonu, jest bardzo znaczącem — dodam nakoniec i przypomnę — że książę Czartoryski poszedł z korpusem generała Ramoriny za Wisłę, więc nie widział szturmu Warszawy, nie przyłożył ręki ani zdania swego do jej ostatecznego upadku.

Z wojen Napoleońskich Krukowiecki wyniósł stopień generała. Był ozdobiony krzyżem wojskowym polskim, był również komandorem Legii honorowej francuskiej i orderu obojga Sycylii.

O ojcu moim, generale Sierawskim dość już powiedziałem. Dodam tylko, iż bodaj czy on jeden jedyny ze wszystkich wyższych dowódców wierzył niezachwianie w możność wybicia się na niepodległość ojczyzny naszej. Koledzy zwali go zapaleńcem, mimo, że nie wichrzył z Klubem patryotycznym i żadnej z nim nie miał styczności. Skrzynecki go nie lubił, bo był niegdyś jego podkomendnym, dlatego też odsuwał go ciągle od działań głównych wojsk naszych.

Generał Józef Bem — kawaler Legii honorowej francuskiej, dzielny dowódca artyleryi — w początkach organizacyi wojska polskiego, to jest po roku 1815 był kapitanem artyleryi konnej. Nie pomnę, z jakiego powodu oddalił się później ze służby czynnej, nie wiem też co robił do czasu rewolucyi. Po jej wybuchu wstąpił zaraz do naszych szeregów — odznaczał się w bitwach, szybko się w stopniach posuwał, został w końcu generałem artyleryi. Już opisałem atak jego na grenadyerów Szachowskiego w bitwie pod Ostrołęką: była to myśl genialna, wykonana z nadzwyczajnem męstwem i energią, uratowała nas, a zważmy, że na jego dwanaście armat, biło przez pół godziny stokilkadziesiąt dział rossyjskich.

W szturmie Warszawy, obserwując z kopuły kościoła luterskiego ruchy wojsk nieprzyjacielskich, nie zdążył dopaść boju i wydać rozkazów swej artyleryi bronienia szańca Woli, co mu

mocno zarzucaliśmy. Emigrował do Francyi: w powstaniu węgierskiem roku 1848 przyjął służbę, dowodził oddzielnym korpusem i odniósł kilka zwycięztw nad Austryakami. Nie czytałem nigdy dokładnego opisu wojny i powstania węgierskiego, więc szczegółowych czynów jego tu przytoczyć nie umiem. Znałem go tylko z widzenia.

Tomasz hrabia Łubieński, generał kawaleryi naszej. Odznaczający się dowódzca pułku za czasów wojen francuskich, pod W. Księciem Konstantym nie chciał służyć. W wojnie naszej odznaczył się pod Nurem, com już opowiedział. Jako człowiek, był bardzo miły i uprzejmy, znałem go osobiście: kilka razy był szefem sztabu głównego. Za panowania cesarza Napoleona III., gdy ten ustanowił tak zwany medal „Świętej Heleny“, jakim ozdobił wojskowych, którzy służyli wojskowo pod wielkim cesarzem, przed Łubieńskim to składali nasi dowody swoje i na jego ręce przychodziły dla nich owe medale i dyplomy. Rząd rossyjski pozwolił je nosić: gęsto jeszcze przed laty można było je widzieć na piersiach naszych staruszków: dziś już ich nie widzę. Medal ten był bronzowy z koroną cesarską — na nim z jednej strony: popiersie Napoleona I., z drugiej napis: „*A mes amis et Compagnons d'armes de la Grande armée*“. Wstążka zielona w czarne paski. — Łubieński za trudy poniesione w tym względzie, obdarzony został przez Napoleona III. komandorskim krzyżem Legii honorowej: kawalerem jej już był poprzednio.

Dwernicki Józef, generał, kawaler krzyża wojskowego polskiego, urzędnik Legii honorowej, dowódzca 2. pułku ułanów przed r. 1831. Był niepomiernej tuszy, a mimo tego lekko dosiadał konia i żwawo go zażywał. Lubiał dobrą kuchnię i ułańskie hulanki: posiadał wielką miłość swoich żołnierzy! W wojnie r. 1831 winniśmy mu byli pierwsze zwycięztwa, pierwsze zdobyte działa. Miał wiele przymiotów dobrego generała kawaleryi. Śmiały, dał się wciągnąć w bitwę na Wołyniu z przeważającym w siłach nieprzyjacielem, otoczyć i wpędzić z wojskiem, powierzonem mu, do Galicyi. A co smutniejsza, stał się w tym względzie przykładem innym naszym dowódzcom. Emigrował do Francyi, około r. 1840 wrócił do Galicyi i tam obfitemi obywatelskiemi składkami zasilany, dostatnio się utrzymywał. Znałem go osobiście. Brat mój, Władysław, był przy nim adjutantem: ciężko ranny, zmarł we Francyi. — Drugi mój brat, Maksymilian, oficer w szwadronach ordynacyi Zamoyskich, zginął w bitwie pod Iganiami.

Generał Piotr hrabia Szembek, kawaler krzyża wojskowego polskiego i Legii honorowej, sławny z waleczności okazywanej za wojen napoleońskich, dowódzca I. pułku strzelców pieszych przed rokiem 1831. W pierwszych dniach rewolucyi listopadowej przyprowadził natychmiast swój pułk pod Warszawę, sam pojechał osobiście oddać się Wielkiemu Księciu. Gdy wrócił do pułku, zastał go już zrewoltowanym i z nim wszedł do stolicy. Był czynny w bitwach 19. lutego pod Wawrem, 25. t. m. pod Grochowem. Gdy mu wódz naczelny odmówił dekoracyi wojskowej dla jakiegoś jego protegowanego, której, jak mówiono, ten nawet nie zasłużył, chwycił tę sposobność i żądał uwolnienia z wojska. Oddalił się w Poznańskie, gdzie jego potomkowie majętności posiadają.

Zielonka Benedykt, pułkownik, urzędnik Legii honorowej francuskiej, adjutant cesarza przed rokiem 1831, dowódzca pułku, w którym służyłem. W naszej wojnie odznaczał się zimną krwią w bitwach — nie przyjął stopnia generała, na który go chciano posunąć, mówiąc, że „będzie walczył za ojczyznę, nie żądając awansów". Ani razu w bitwach pałasza nie dobył: szedł do szarży z laską w ręku, dla tego też bez jego wiadomości, w takich chwilach żołnierze nasi z bliska go otaczali i zasłaniali; posiadał wysoki szacunek u nas oficerów, miłość u żołnierzy. Zdaje się, że pochodził z Podola, pięknym był mężczyzną. Około roku 1826, ożenił się z wdową po sławnym kościuszkowskim generale, Mokronowskim, z domu, o ile pamiętam, hrabianką Potocką — ta umierając zapisała mu testamentem 500.000 złp. Po wojnie wrócił z nami do kraju z Gdańska, kupił majętność ziemską w Rzeczypospolitej Krakowskiej i w niej osiadł. Odtąd ciągle chmurny, bolejący nad zmianą położenia kraju, żył samotnie — niedługo też zmarł: daleki po nim krewny i imiennik z Podola, odziedziczył spadek po nim. — Cieszyłem się jego dla mnie życzliwością.

Jeszcze mała wzmianka o Klubie patryotycznym. Przewodnicy jego werbowali sobie w wojsku naszem, co tylko było najdzielniejszego, a chciało im się poddać. Wiceprezesa Klubu, Krępowieckiego znałem, jako guwernera młodego Dąbrowskiego, bom bywał z moim ojcem u generałowej wdowy po Henryku. Po mojem odznaczeniu się pod Mińskiem, które opisałem i ozdobieniu krzyżem polskim, wynalazł mnie Krępowiecki — usiłował zbadać mój sposób myślenia, rozbudzał ambicyę, obiecywał poparcie wszechmocnego Klubu, awanse, stopnie, bylem się zacią-

gnął pod jego chorągiew, a było to zaraz po bitwie ostrołęckiej. Kto wie, może dałbym się nakłonić; ale, gdy w tajnej rozmowie źle się wyrażał o moim dobroczyńcy, księciu Czartoryskim, grzecznie odmówiłem, odpowiadając, że istotny Klub patryotyczny jest w obozie. — Już go potem nie widziałem. Był to człowiek wielkich zdolności i bardzo wymowny. Emigrował do Francyi.

(Dokończenie nastąpi).

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ".

Prenumerata wynosi: w cesarstwie austryackiem rocznie **8** K, półrocznie **4** K, ćwierćrocznie **2** K, w granicach Niemiec rocznie **3** talary, półrocznie $1^{1}/_{2}$ talara, którą prosimy nadsyłać (najdogodniej przekazem pocztowym) pod adresem: **Administracya „Gazety Lwowskiej“.**

Cena księgarska (główny skład w Galicyi w księgarni Gubrynowicza i Schmidta) za rocznik czyli 1 tom **10** K, za pół roku **5** K, za ćwierć roku **2** K **50** h, za zeszyt **1** K.

Prenumeratorowie „Gazety Lwowskiej“, którzy uiszczą przedpłatę na „Gazetę“ z góry za cały rok (od 1 stycznia) lub za pół roku (od 1 stycznia lub od 1 lipca) otrzymają „Przewodnik“ bezpłatnie, zaś prenumeratorowie ćwierćroczni i miesięczni na żądanie za dopłatą pierwsi **1** K **50** h na kwartał, drudzy **60** h za zeszyt.
